

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 22 marca 1913. Nr. 12.

Święto Zmartwychwstania.



Treść numeru: Palmowa niedziela. — Zgon polskiego historyka. — Wróg wojny. — O kościół w Błoniu. — Nad świeżą mogiłą. — Beznadziejna walka — Nowy profesor Wszechnicy Jagiellońskiej. — Nowi ojcowie miasta Lwowa. — Walka z rekinami. — Przygoda ambasadora niemieckiego. — Znowu sufrażystki. — Katastrofa kolejowa. — Pożar w Konstantynopolu. — Nowa placówka polska. — Ustąpienie zasłużonego działacza. — Zgon kapłana-pedagoga i t. d.

Święto Zmartwychwstania.

(Do illustracyi tytułowej).

Wieść radosna, niesłychana,
Chrześcijański świat przelata:
Dzisiaj skruszył więzy śmierci –
Zmartwychpowstał Zbawca świata!

To nie cudna baśń-podanie,
Ani złudnych czar omamień,
W oczach straży i żołdaków
Wstał i zwalił grobu kamień.

I strwożyli się wrogowie,
I zdumieli się ciekawi,
A On wrogom swym przebacza
I wierzących błogosławi!

Przez cierpienia i śmierć Twoją,
Przez chwalebne Zmartwychwstanie,
Tym, co wierzą i ufają,
Pobłogosław Boże Panie!

Pobłogosław ludzkie serca,
Tak spragnione dobrej wieści,
Pobłogosław tym pragnieniom,
Które każdy w sercu pieści.

Pobłogosław tym zasiewom,
Pszczelnym rojom, kwietnej błoni,
Pobłogosław chłopskiej kosie
I daj siłę chłopskiej dłoni!

Pobłogosław Twoje dary,
Ludzką pracę, trud i znoje,
By człek jadł swój chleb w spokoju,
Chwaląc po wiek Imię Twoje!...

My do Ciebie dzisiaj ślemy
Rozpaczliwe swe błagania,
My, co głazem przywaleni,
Oczekujem Zmartwychwstania!

Od Redakcyi.

Z okazyi Świąt Wielkiej Nocy przesyłamy wszystkim Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciołom naszego pisma serdeczne życzenia

Wesołego Alleluja!

Zgon polskiego historyka.

Znowu na gmachach Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zaczerniała żałobna chorągiew. W krótkim czasie traci krakowska Wszechnica znowu jednego z wybitnych swych profesorów, znanego i cenionego historyka polskiego, dr. Wiktora Czermaka.

Urodzony w r. 1863 w Janowie w Galicyi, kształcił się na Uniwersytecie lwowskim, poczem wyjechał do Rzymu, gdzie pracował w archiwach watykańskich. Powróciwszy do kraju, poświęcił się pracy nad historyą Polski i objął stanowisko bibliotekarza seminaryum przy Uniwersytecie w Krakowie.

W r. 1895 rozpoczął na Wszechnicy Jagiellońskiej wykłady historyi polskiej. Zwłaszcza prelekcye jego z epoki porozbiorowej i XVII w. cieszyły się wielkiem uznaniem. W r. 1899 został profesorem nadzwyczajnym, zaś w r. 1906 objął katedrę historyi polskiej jako zwyczajny profesor po śmierci Stanisława Smolki.

Śmierć zaskoczyła go w pełni sił. Mimo to pozostawił już bogaty dorobek naukowy, posiadający wybitną wartość. Wiele momentów historycznych XVII w. znalazło w nim ścisłego i poważnego dziejopisarza.

W dzisiejszym numerze podajemy podobiznę przedwcześnie zgasłego polskiego historyka.

jaki zapanował w ostatnich czasach na terenie wojny... Gdy u nas zima tegoroczna okazała się wyjątkowo łagodną, tam zmroziła i zasypała śniegiem walczące armie, które muszą przedewszystkiem walczyć z wspólnym wrogiem, mrozami i śnieżycami... Jak strasznym jest ten biały wróg zimy, widzimy na jednej z naszych illustracyi, przedstawiającej zlodowaciały posterunek wojskowy pod Adryanopolem... Ale wszystko ma swe złe i dobre strony... Unieruchomione przez śnieg i mrozy armie mają przynajmniej czas na... zabawę...

Na drugiej illustracyi widzimy właśnie żołnierzy, bawiących się jak dzieci robieniem figur zwierzęcych ze śniegu... Świadczy to, że najwytrzymalszem zwierzęciem jest... człowiek, któremu nie przeszkadzają w zabawie nawet trudy zimowej kampanii wojennej.



Zgon polskiego historyka: Ś. p. dr. Wiktor Czermak, profesor Wszechnicy Jagiellońskiej.



Wróg wojny: Zasypany śniegiem posterunek armii bułgarskiej pod Adryanopolem.

Wróg wojny.

Jakkolwiek nic nie może się porównać z okropnościami współczesnej wojny i ta niszcząca pożoga ma wrogów, którym musi ulegać... Widzimy to w obecnej walce na Bałkanach. Animusz wojenny i plany strategiczne pokrzyżowała wyjątkowo ostra i wyjątkowo długa na Bałkanach zima... Mrozy i śniegi są też niewątpliwie przyczyną tego zastoju,

Palmowa niedziela.

Ostatnia niedziela przed Wielkanocą nosi nazwę niedzieli Palmowej. Jest ona pamiątką owego tryumfalnego wjazdu Chrystusa Pana, jaki przed świętami Paschy odbył do Jerozolimy. Jak Pismo św. pisze, szły wtedy przed nim rzesze ludu, niosąc palmy, którymi ścielono drogę przed przybywającym Zbawicielem.



Palmowa niedziela: Sprzedaż palm we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Pamiątka tego uroczystego dnia przechowała się do dzisiaj zarówno w liturgii kościelnej, jak też w zwyczajach ludowych. W kościele w tym dniu rozpoczynają się właściwe nabożeństwa wielkotygodniowe, a w czasie Mszy św. celebrans czyta opis Męki Chrystusa Pana, trzymając palmę w ręce.

Lud zaś znosi do kościoła palmy, robione u nas z pierwszych pęków wiosennych łoziny, zdobionych często pierwszymi kwiatami wiosny, które się święci uroczyście. Palmy te różne mają kształty, tak n. p. we wschodniej Galicyi zdobione są często bardzo ładnymi plecionkami ze słomy różnokolorowo barwionymi.

W miastach w dniu tym przed kościołami zasiadają liczni przekupnie, którzy sprzedają gotowe już „palmy“, które następnie daje się poświęcać.

Jak zwykle, tak i w tym wypadku palmom tym przypisują różne własności lecznicze, a przesądni włościanie używają ich do przeciwdziałania różnym „czarom“ wiejskim.

Illustracye nasze przedstawiają ruch świąteczny, jaki w niedzielę palmową odbywa się pod łacińską katedrą we Lwowie.

Nad świeżą mogiłą.

Nieubłagana śmierć kosi na prawo i lewo, zabierając z pośród żyjących jednostki wybitne i zasłużone, które mogły jeszcze swą twórczą pracą długo służyć społeczeństwu... W pełni pracy twórczej zmarł też w tych dniach w Warszawie ceniony powieściopisarz i historyk ś. p. Walery Przyborowski. Należał on do grona najpłodniejszych i najpoczytniejszych pisarzy i położył wielkie zasługi zwłaszcza w dziale historycznych powieści dla młodzieży.

Urodzony w r. 1845 w Domaszowicach, w ziemi Kieleckiej, ś. p. Przyborowski kształcił się w gimnazyum kieleckiem i radomskiem, a następnie na wydziale historyczno-filologicznym warszawskiej Szkoły Głównej. Po wypadkach 63 roku, w których brał udział, osiadł od r. 1869 na stałe w Warszawie i oddał się pracy literackiej... Zaczął od powieści społecznych, z których można wymienić: „Zycie za marzenie“, „Bicz korali“, „Magdalena“ i inne. Talent jego zajaśniał jednak dopiero w całej pełni w powieściach na tle historycznem, w których najważniejsze wydarzenia dziejowe opowiedział w formie bardzo przystępnej i zajmującej. W tym dziale zmarły pisarz pozostawił bardzo obfity dorobek literacki. Dość tu wymienić takie utwory, jak „Bitwa pod Raszynem“, „Austryacy w Warszawie“, „Na San Domingo“, „Młody konfederat barski“, „Było to pod Jeną“, „Berezyna“, „Aryanie“ i wiele innych.

S. p. Przyborowski poświęcał się również poważnym badaniom historycznym, a plonem tej pracy są przedewszystkiem dwa pomnikowe dzieła: „Historya dwu lat“ (2 tomy) i „Dzieje 63 roku (4 tomy).

S. p. Walery Przyborowski zasilał także swymi utworami dział powieściowy naszego pisma, a świeżo



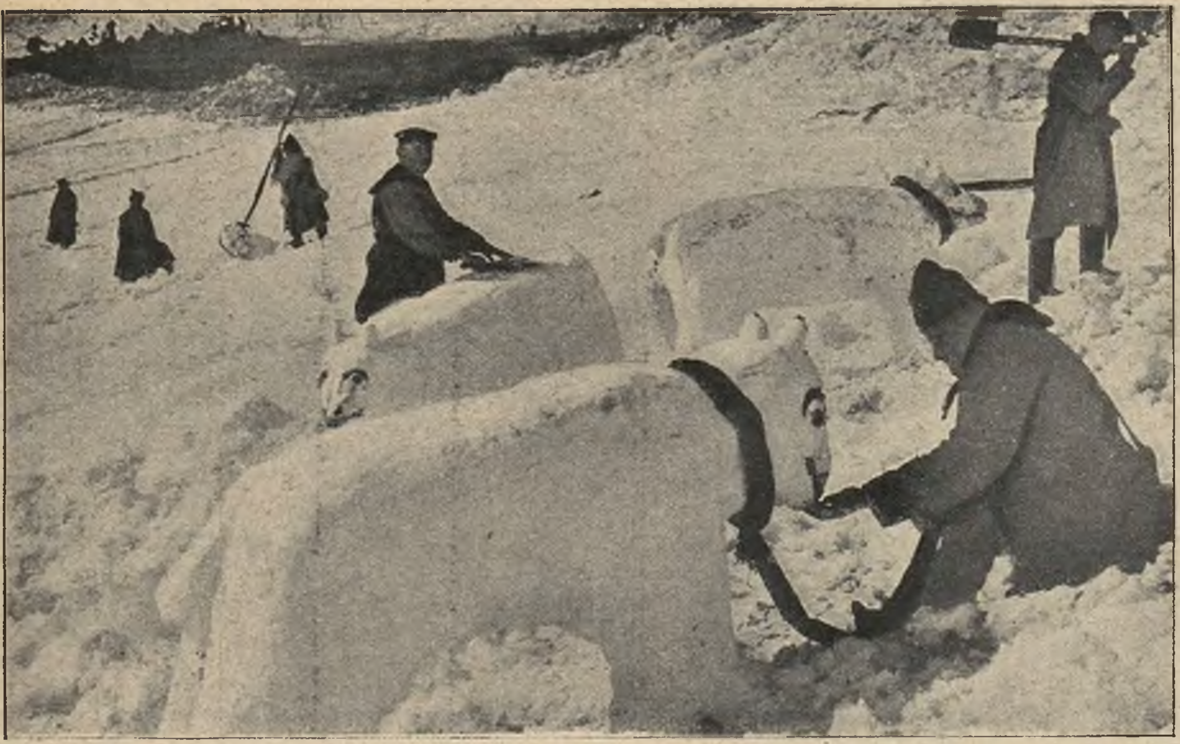
Palmowa niedziela: Ruch przedświąteczny w niedzielę palmową we Lwowie.



Nad świeżą mogiłą: Ś. p. Walery Przyborowski.



Palmowa niedziela: Przed katedrą lwowską. (Fot. M. Münz, Lwów).



Wróg wojny: Żołnierze bułgarscy skracają sobie czas oblężenia Adryanopola robieniem figur zwierzęcych ze śniegu.

ukończyliśmy druk jego najnowszej powieści p. t. „Cień“, nie przeczuwając, że będzie to ostatnia praca zasłużonego pisarza.

Cześć jego pamięci!

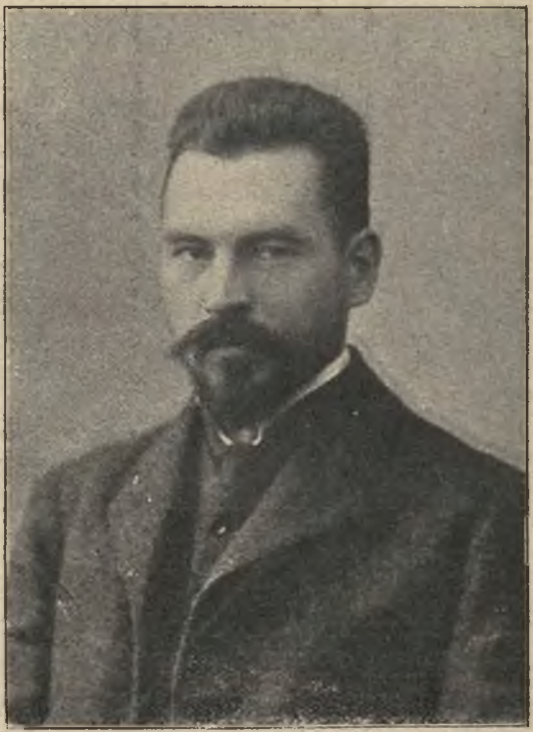
Beznadziejna walka.

Na szczęście minęła groźba strasznej wojny europejskiej. Żyjemy jednak w czasach, gdy nie tylko w Europie, ale na obu półkulach globu ziemskiego toczy się walka, choć na razie nie krwawa, lecz zato bardzo zacięta. W Anglii pękają już bomby i płoną gmachy, podpalane przez wojowniczą armię sufrażystek. Nie tak wojowniczo, lecz zato bardzo solidarnie i masowo wystąpiły do walki o „równouprawnienie“ sufrażystki amerykańskie, które w tych dniach wyległy na ulice m. Waszyngtonu w liczbie 10.000, uzbrojone na szczęście tylko w tablice agitacyjne...

Pochodowi temu przypatrywały się niezliczone tłumy publiczności, nie tyle ze strachem, ile z ciekawością... Demonstracya ta miała przebieg zupełnie pokojowy.

W każdym jednak razie wobec wojennego animuszu amazonek angielskich, operujących już szpicrutami, kamieniami, a nawet bombami, jest to bardzo groźna zapowiedź...

Obecni władcy świata, t. j. przebrzydły rodzaj męski może niebawem znaleźć się w położeniu nieszczęsnej Turcyi, skazanej na zagładę... Dotychczas jednak broni się z całem bohaterstwem i... kurtuazyą, należną płci pięknej... Jest to jednak walka zupełnie beznadziejna, kobiety walczą bowiem o to, co już dawno posiadają. „My rządzimy światem, a nami kobiety“ — to prawda stara, jak świat...



Nowy profesor Wszechnicy Jagiellońskiej: Dr. M. Smoluchowski.

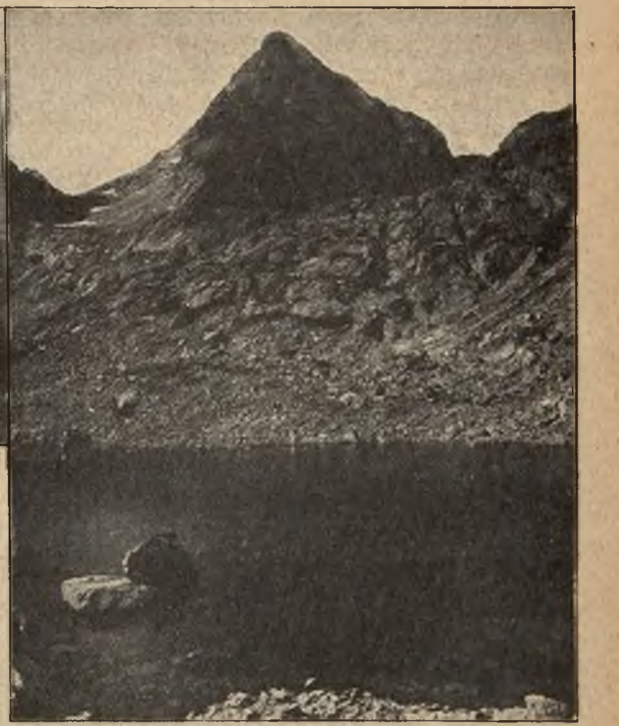
Skoro sufrażystkom to nie wystarcza, pozwólmy im rządzić światem — ale zato sami rządźmy kobietami!...

Na tej zmianie ról mężczyźni mogą tylko zyskać...



Beznadziejna walka: Demonstracya dziesięciotysięcznej armii sufrażystek na ulicach Waszyngtonu.





ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

4

Dopiero po kolacyi znalazł stosowną chwilę i na osobności rozmówił się z doktorem, który odpowiedział:

— Pani jest cierpiąca, potrzebuje zupełnego spokoju. Nie powinna zajmować się gospodarstwem domowem, żadnymi interesami materyalnymi, służbą, dzieckiem..

— Ależ ona i tak prawie że się niczem nie zajmuje.

— Jednak te drobne, dla pana nic nie znaczące, zajęcia pogarszają stan jej zdrowia i trzeba tego uniknąć.

— Cóż tedy radzisz, panie Henryku?

— Wyjazd z domu, zupełne oderwanie się od zajęć i kłopotów.

— Ale co jej właściwie brakuje?

— Nerwica serca, ale nie wspominaj pan o tem chorej, zachowaj dla siebie. Powiedziałem pani, że to zwykłe wyczerpanie sił, zdenerwowanie, pewien rozstrój, który pod wpływem spokoju i ciszy ustąpi.

— Więc to poważna choroba? — patrzał badawczo w oczy doktora.

— Każda choroba jest poważna, albo może nią zostać.

— I na jak długo musi wyjechać?

— Aż do polepszenia zdrowia, na dwa, może na cztery miesiące. Osądzi to zresztą i lekarz miejscowy i do pewnego stopnia sama pani.

— Dokąd radzisz wyjechać, panie Henryku?

— Do Zakopanego, doskonała stacya klimatyczna. Pomieszczenie dobre, wygody, lekarze na miejscu i cudowne powietrze górskie.

— Hm... ciężko nam będzie dwojgu wyjechać z domu....

— O, nie! — zaprotestował doktor, — pani musi być sama, bez pana, panie Michale.

— Jakto? Ona sama!? Czyż da sobie radę? Czy nie zatęskni się? Któż jej usłuży? rozrusza? zabawi?

— Nia obawiaj się pan, da sobie sama radę, nie będzie przecież na odludziu.

— Nie znasz jej, panie Henryku; ona taka delikatna, wrażliwa, lada słowo ją zrazi, zmartwi. Musi się ktoś nią opiekować, osłaniać ją.

— Tak źle nie jest, — uśmiechnął się doktor, — i pani poradzi sobie.

— Ja nie puszczę jej samej, — powiedział stanowczym głosem.

— Jednak dla jej zdrowia to nieodzowne.

Pam Michał zmieszał się, zaczerwienił i spytał podejrzliwie:

— Czy ona mówiła co o mnie?

— Ani słowa.

— Więc dlaczego zabraniasz mi, panie Henryku, towarzyszyć jej?

— Powiedziałem już, że pani musi się oderwać od domowych stosunków, otoczenia, trosk wszelkich.

— To rozumiem, ale co innego ja, jej mąż i opiekun.

— Właśnie dlatego, — zaśmiał się.

— No, to wyznam już, ale tylko przed panem, jako doktorem, że pomiędzy nami są stosunki trochę zaćmione, niejasne, jest w tem może trochę i mojej winy... otóż myślę, że te jej smutki i przygnębienia ustąpią, gdy będziemy sami, zdala od domu... no i przyjdziemy do zupełnej zgody.

— Nie, panie Michale, obecność pana uniemożliwi kuracyę. W chorobie pani są pewne opory psychiczne, którym nie można się przeciwstawiać, bo pogorszą stan rzeczy. To wszystko minie, gdy o a przyjdzie do zdrowia.

— Ale Ninkę zabierze ze sobą?

— Nie, sama być musi.

— To niemożliwe, ona przecież kocha dziecko, nie rozstanie się z niem.

— Trzeba.

— Nie! Nie!... Chciałbym koniecznie, ażeby Ninka i bona z nią były, jeśli ja nie mogę.

— Dlaczego? Przecież dziecko nie zacięży panu i tu będzie miało większe wygody, aniżeli tam.

— No, tak, zapewne... czy pan żonaty?

— Nie.

— Więc panu trudno zrozumieć męża, który młodą żonę ma puścić samą w świat, między Bóg wie jakie towarzystwo. Dziecko, widzi pan, jest hamulcem, zawsze przypomina o obowiązkach matki i żony. Z tego powodu chcę wysłać z nią Ninkę.

— A właśnie z tych samych powodów odradzam stanowczo zabierania dziecka do Zakopanego.

— I ona zgodziła się na to, ażeby jechała sama? bezemnie? bez dziecka? — wpatrywał się gorączkowo w twarz doktora.

— Powiedziała, że się namyśli, poradzi z panem.

Pan Michał się rozjaśnił i rzekł z uśmiechem:

— No, to nic straconego! Spodziewałem się tego, ona przecież nas kocha. Panie Henryku, a jeśli ona zechce, ażebym ja jej towarzyszył?

— Radzę panu ani prosić, ani nalegać, ażeby sama nie jechała. Zresztą, zrobi pan, co zechce, — i korzystając z przyjścia jednego z gości do pokoju, zawiązał z nim rozmowę.

Nazajutrz po wyjeździe gości pan Michał poszedł do żony.

— Jakże Wandziu się czujesz?

— Jak zwykle.

Chłód, z jakim go przyjęła, zaczął go drażnić, ale się przemógł i mówił uprzejmie:

— Doktor Henryk radzi, ażebyś wyjechała do Zakopanego na odpoczynek.

— Wiem.

— Czy myślisz sama jechać?

— Zastosuję się do wskazań doktora.

— Znaczy sama, — nachmurzył się, — a sądzę, że dla spokoju i dobra twego lepiej, ażebym pojechał z tobą.

— Doktor zabronił stanowczo.

— No, wiesz, — starał się uśmiechnąć, — doktor doktorem, ale zważ, że na czas dłuższy nie rozstawaliśmy się ze sobą. Będzie mi nader przykro i dla twej wygody byłoby lepiej, gdybyś nie była tak osamotniona.

— Tobie będzie przykro!? — spojrzała zdrwiącą pogardą, — ależ pozbędziesz się ciężaru, przestanę zatruwać ci życie...

— Wandziu, mówiłem to w rozdrażnieniu, — przerwał jej, — i bardzo serdecznie cię przepraszam.

— Bądź szczery przynajmniej, wolę ostre słowa, aniżeli komedyę... a zresztą kto chciał wyjechać z domu?

— To tak sobie... na wiatr...

— Nie wierzę.

Mąż przeszedł się po pokoju, zapalił papierosa i patrząc z pod oka spytał:

— A Ninki nie weźmiesz?

— Doktor zabronił.

— Hm... ten doktor, to dobry parawan, — uśmiechnął się ironicznie.

— Nie potrzebuję parawana, bo nic nie mam do ukrywania, ani towarzyszów, ani kart...

— Prawda... no, dajmy temu spokój... zatem chcesz jechać sama?

— Stosownie do rady doktora.

— I kiedy?

— Dziś, jutro, byle prędzej.

— Skądże ten pośpiech?

— Doktor kazał.

— Niech i tak będzie, — westchnął; — każ Rózi przygotować twoją bieliznę, suknie, bo zdaniem doktora kuracya potrwa trzy lub cztery miesiące. Za dwa, trzy dni, jak tylko będą paszporty, wyjedziemy.

— Jakto? — podniosła zdziwione oczy.

— Nie obawiaj się, — powiedział z goryczą, — tylko odprowadzę cię do Zakopanego i zostawię.

— Dobrze... dziękuję... I jeszcze jedno, czy mój wyjazd nie będzie zbyt wielkim ciężarem?

— Nie! Wprawdzie urodzaju nie było wielkiego, ale zato ceny wysokie i mam w domu zbędnej gotówki pięć tysięcy rubli, nie licząc buraków.

— To bardzo szczęśliwie.

— A widzisz, mimo że pilnuję więcej kuchni, aniżeli gospodarstwa, — kończył złośliwie i wyszedł.

III.

Pani Wanda z mężem jechali w oddzielnym przedziale drugiej klasy. Wsunięta w róg milczała z przymkniętemi oczami, opadły ją bowiem obawy o pozostawioną w domu Ninkę. Była to pora, gdy dziecko po rannej kąpieli układano do snu. Ninka zazwyczaj grymasiła przed snem i napierała się do zabawy i ruchu, a uspokajała się pod wpływem śpiewu lub opowiadania bajki. A może zniecierpliwiona bona uderzyła Ninkę... a może pozwoliła jej po ciepłej kąpieli biegać bosemi nóżkami po zimnej posadzce i dziecko rozgrzane wybiegło na kurytarz, przeziębi się, dostanie zapalenia płuc i umrze... łzy napływały jej do oczu i teraz gorzko żałowała, że nie została w domu. Mogła była dopilnować dziecka, zapobiedz nieszczęściu, ale doktor radził jej koniecznie wyjazd dla zdrowia... musiała dom opuścić... Sądziła jednak, że on zostanie, spojrzała z niechęcią na męża palącego papierosy. Możeby i nie dopilnował dziecka, lecz sama jego obecność we dworze zmusiłaby bonę do większej troskliwości o dziecko, które miałoby się przed kim poskarżyć.

I poco on właściwie jedzie? Dlaczego zamęcza ją swą obecnością? Nadpłynęła gryząca fala żalu i goryczy do męża...

Pan Michał, puszczając kłęby dymu, to patrzał na milczącą żonę, to znów na szary, mglisty dzień, który przedzierał się do przedziału przez brudne szyby. W głębi serca czuł żal do żony, że tak łatwo zgodziła się na wyjazd, sama jedna, a widzac ją smutną, pomyślał nie bez

zadowolenia, że pewno teraz martwi się, że zostawiła dom, męża, dziecko...

Niech się martwi, niech żałuje, zaś ja będę bardzo uprzejmy, troskliwy, dbały o nią, ażeby poznała, ile traci.

Widząc ją tak wciśniętą w kąt, zdjął z półki pled i rzekł:

— Wandziu, może ci chłodno, okryję ci nogi, — zbliżył się.

— Dziękuję ci... Dobrze mi... nie chcę pleda, — odsunęła pospiesznie nakrycie z nóg.

— Jak się czujesz Wandziu? — składał pled na półce.

— Dobrze.

— Wiesz, co mi ciocia na samem odjezdnem powiedziała?

— Co?

— Zawiadomiła mnie, że przenosi się do twego gabinetu, ażeby być bliżej Ninki. Nie mówiła tobie tego, sądząc, że się sprzeciwisz ze względu na jej zdrowie.

Pani Wanda odetchnęła, obawa o dziecko prawie znikła, a wzrosła wdzięczność dla ciotki i powiedziała rozczulona:

— Jaka ona dobra!

— Nie sprzeciwiłem się temu, chociaż ta troskliwość wydaje mi się zbyteczną, tylko powiedziałem, ażeby twoje meble kazała przenieść do innego pokoju.

— Dopilnowanie dziecka jest stokroć ważniejsze od mebli, — powiedziała twardo, — czy podziękowałeś cioci?

— Nie było czasu.

Jaki on gbur? Jak nie posiada najmniejszego poczucia delikatności? Staruszka poświęca się dla jego dziecka, a on każe jej usunąć meble z pokoju! Gdzież ona usiądzie? Ile kłopotu będzie miała, ażeby jako tako umeblować pokój?!

Milczeli czas jakiś, wreszcie on, chcąc ją zabawić, zaczął:

— Wiesz, Wandziu, na ostatniem polowaniu, Władek Świrski fatalnie pudłował. Wyobraź sobie, chybił raz po raz do czterech zajęcy, aż tu na drugim miocie wychodzi na niego lis, jakie pięćdziesiąt kroków...

I dalej opowiadał, jak Świrski spudłował, jak lis zawrócił i jak on na sto trzydzieści kroków powalił go celnym strzałem.

Słuchała go niesłuchając, dziwiąc się lekceważąco, jak można z takiem zajęciem i śmiechem opowiadać tak błahą rzecz.

Pan Michał, pobudzony swem opowiadaniem, przypomniał sobie doskonałą sprzedaż konia z kolerem na jarmarku, która się udała jednemu ze sąsiadów i kończył:

— I tak się ucieszył pozbyciem się konia, że wyprawił ucztę, trochę przegrał w karty, a nazajutrz musiał konia sprzedanego przyjąć i pieniądze zwrócić. I konia się pozbył i dopłacił grubo do tej zabawy. Czy to nie jest doskonałe? — śmiał się.

Ona, wyobrażając sobie te targi, hałasy, krzyki, pijatykę, słuchała z obrzydzeniem, a widząc go tak rozbawionym, poczuła wstręt do niego. I to jest mój mąż, ojciec mego dziecka! I ja go niegdyś kochałam, całowałam go, słuchałam z przyjemnością jego banalnych opowiadań! Gdzie miałam oczy?

Jakiż on brzydki!? Czoło nizkie, włosy rzadkie, łysawy; usta grube, zmysłowe; wąsy pretensyonalnie podkręcone; twarz czerwona, prostacka; ruchy niezgrabne, ociężałe; oczy bez wyrazu, tylko błyszczą przy dobrem jedzeniu lub pożądaniu. I takie zmarszczki! Jakiż on stary, pomyślała, chociaż pan Michał liczył trzydzieści osiem lat, ona zaś miała dwadzieścia trzy.

Odwróciła oczy i patrzała na migającą się okolicę, nudną i płaską. On poszedł za jej wzrokiem i ziewając mówił:

— Masz też patrzeć na co! Piaski, błota i zagajniki.

— Cóż mam robić? — westchnęła.

— Wiesz, Wandziu, — ożywił się, — a możebyśmy coś zjedli? Mam doskonałą kuropatewkę, sam upolowałem, — sięgnął po eleganckie, skórzane puzderko i otwierał, — czy ci podać?

— Nie, dziękuję.

— Są sardynki wyborne, sam dopilnowałem, zupełnie świeże, — podawał na talerzyku, a na przeczący ruch głową dodał, — a może kruche rogaliki? wyglądają wcale dobrze.

— Dziękuję... nie mogę myśleć o jedzeniu.

— To dziwne; jechaliśmy godzinę powozem, a koleją prawie godzinę, czuję głód niemal, — wyjął kuropatwę, przygotowywał nóż i widelec, — a może napijesz się kieliszek burgunda starego, umyślnie go wziąłem dla ciebie.

— Wiesz, że nie pijam alkoholów.

— To nie alkohol, to lekarstwo... napij się.

— Dziękuję, — patrzała w okno, lecz w odbiciu widziała, jak mąż je.

Przypomniały się jej jego narzekania, docinki, drwiny z dysponowanych przez nią obiadów i nagle poczuła takie obrzydzenie do jedzącego, że wstała i wyszła na kurytarz.

Wróciła po dobrzej chwili, ujrzała na papierze ogryzione kości z kuropatwy, okruszyny bułek i ciastek, brudne talerzyki i kieliszek.



Wkrótce zasnął, chrapiąc głośno.

— Wandziu, zjedz chociaż jabłko, — podawał ładny owoc, — jeśli nie jestem Parysem na górze Ida, chciałbym odegrać rolę Ewy z raju, — śmiał się.

Chcąc się pozbyć jego dalszych zaprosin, przyjęła jabłko, usiadła w swym kącie i wzięła powieść francuską do ręki. Czytała

On bardzo porządnie pochował naczynia, resztę jedzenia do puzderka, wyrzucił kości przez okno i spytał:

— Co czytasz?

— Powieść.

— Szkoda oczu natężać w wagonie.

— Nie mam nic lepszego do roboty.

— Zrób tak, jak ja, prześpij się, prędzej czas minie.

Ułożył się wygodnie na przeciwległej kanapce, zdjął but, który go cisnął, rozpiął koszulę u szyi, i wkrótce zasnął, chrapiąc głośno z powodu kataru.

Rozcinając kartki czytanej książki, spojrzała na męża. Wydał istotnie nieszczególnie, z twarzą pełną, czerwoną, świecącą; z opadniętym podbródkiem, z włosami zmierzwionemi. Usta miał półotwarte i widać było ostre, żółtawe zęby, a przez nos zatkany i gardło zajęte dobywały się chrypliwe, świszczące oddechy. Rozwalony na kanapce, w bezwładzie snu nie miał w sobie nic miłego.

Patrzała na niego z rosnącą niechęcią i szepnęła drwiąco:

— I to nazywa się człowiek, bo ma dwie nogi.

Zaczęła rozpamiętywać dzieje swej miłości. Czuła do siebie wstręt, pogardę, że mogła go kochać, człowieka tak małego, banalnego, zmysłowego! I to on zabrał, ukradł, zrabował jej pierwsze rojenia o miłości, szczęściu, rozkoszy! I to zwierzę brutalne, łakome, łaknące, jest jej mężem! Ma prawo do niej!

Jakże go szczerze nienawidziła! Jak pogardzała sobą, że mogła wyjść za niego, przyjmować i odwzajemniać miłość... To był jakiś obłęd u niej, jakieś znieczulenie zmysłów, obezwładnienie woli, rozumu i krytyki.

Paliły ją suche oczy, siłą powstrzymywała krzyk oburzenia i rozpaczy, zaciskała zęby i drżała ze zgrozy i wstrętu do siebie i do niego.

Byłam głupią, niedoświadczoną dziewczyną, ale on! on!

I rósł gniew, żal, zawziętość. Wyszła na kurytarz, prąd zimniejszego powietrza ochłodził ją, zwolna się uspokoiła, a patrząc przez pół otwarte drzwi na śpiącego, uśmiechnęła się z goryczą, zadając sobie znów pytanie?

— I poco on jedzie ze mną? Je, śpi, chrapie i tylko mi przeszkadza, a byłoby mi tak dobrze bez niego.

Obudził się, a nie widząc żony, zerwał się, odchylił drzwi szerzej i zawołał:

— Wandziu, a ty gdzie? Tak się przeraziłem, śniłem o rozbiciu pociągu.

— Nic się nie stało, — patrzała z przykrością na zaspaną minę, na ubranie w nieładzie.

Na Granicy zmusił ją niemal do przełknięcia kilku łyżek zupy i wypicia herbaty.

Gdy w Krakowie przyjechali do hotelu, zażądał pan Michał pokoju obszernego z dwoma łóżkami.

— Jestem taka zdenerwowana i zmęczona, — odezwała się po francusku pani Wanda, — że wolałabym mieć swój pokój oddzielny.

Spojrzał na nią obrażony i mruknął w tym samym języku:

— To sensu nie ma, — a następnie po polsku do portyera: — proszę o dwa sąsiadujące numery.

— Są, jaśnie panie, ale nie łączą się ze sobą.

— Co za nędzny hotel, — irytował się, — nie macie apartamentu?

— Trzy, ale są na razie zajęte. Jutro jeden będzie wolny.

— No, proszę więc o dwa pokoje.

Gdy szli schodami mówił pan Michał podrażnionym głosem po francusku:

— Zastosowałem się do twego dziwactwa, nawet mi nie podziękowałaś... i co pomyśli o nas służba?... jak można afiszować tak swe humory?

— Co nas służba obchodzi, byle nam dogodniej było, — odpowiedziała obojętnie.

— Dogodniej? jak dla kogo... Może zjemy kolacyę razem? — spojrzał na zegarek, — dopiero dziesiąta.

— Wolę odpocząć po podróży.

— Każę przynieść do numeru.

— Nie... Dziękuję ci.

— Musisz przecież coś zjeść, prawie nic nie jadłaś... osłabniesz.

— Nie chcę jeść.

— Nie, to nie, — rzekł gniewnie, — ależ rozhulały się twoje nerwy.

Pani Wanda, wchodząc do swego numeru, rzekła:

— Zaraz się położę... Dobranoc, — zamknęła drzwi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowi ojcowie m. Lwowa.

Rada miejska lwowska rozpoczęła już na dobre swoją pracę. Przed kilku dniami odbyło się uroczyste posiedzenie, drugie z rzędu, na którem dokonano wyboru prezydyum miasta oraz poszczególnych sekcyi Rady.

Prezydentem Lwowa został prawie jednogłośnie wybrany dotychczasowy prezydent Józef Neuman. Zasłużył on sobie godnie na zaszczyt, jakim go Rada obdarzyła. Prezydując miastu po śmierci ś. p. Michalskiego, okazał się dobrym i zapobiegliwym gospodarzem. To też wybór jego spotyka się z ogólną życzliwością.

Pierwszym wiceprezydentem został zasłużony parlamentarzysta, dzielny mowca i obrońca naszego



Nowi ojcowie m. Lwowa: Prezes klubu obywatelskiego b. minister St. Głąbiński.

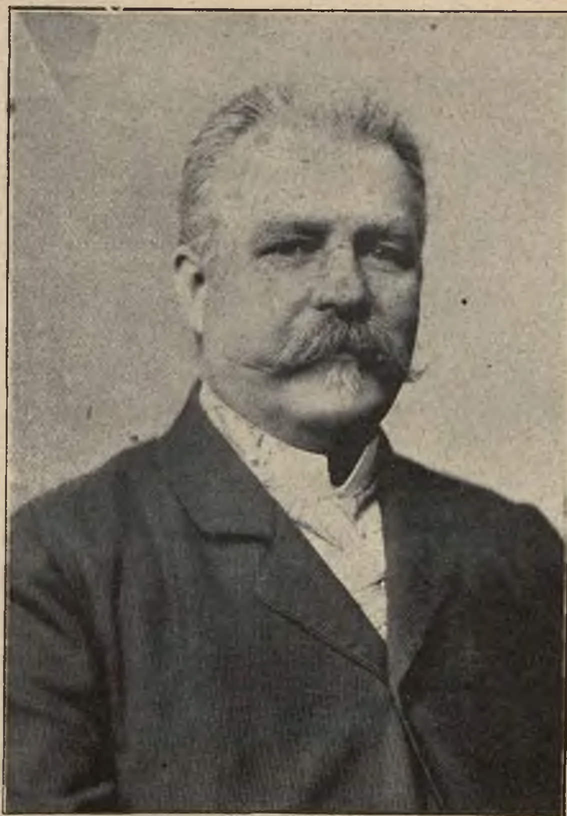
przemysłu krajowego, dr. Tadeusz Rutowski. Jako drugiego wiceprezydenta wybrano dr. Leonarda Stahla.

Wybór trzeciego wiceprezydenta na razie odroczono ze względów formalnych.

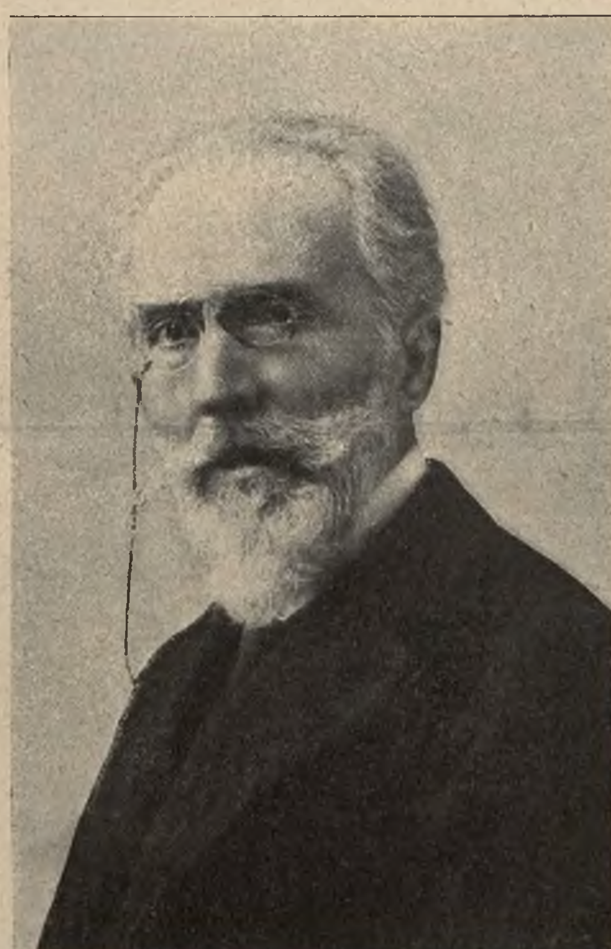
Po dokonaniu wyborów, których ogłoszenie przyjęto hucznymi oklaskami, Rada ukonstytuowała się, wybierając członków poszczególnych sekcyi.

Również kluby Rady, których jest kilka, odbyły już swoje konstytuujące zebrania i powybierały nowe prezydya.

Illustracye nasze przedstawiają podobizny nowych członków prezydyum lwowskiej Rady m. oraz przewodniczących poszczególnych klubów.



Nowi ojcowie m. Lwowa: Prezydent miasta Józef Neuman.



Nowi ojcowie m. Lwowa: I-szy wiceprezydent dr. T. Rutowski.



Nowi ojcowie m. Lwowa: II-gi wiceprezydent dr. L. Stahl.

Walka z rekinami.

Głębiny oceanu dają przytułek różnym gatunkom ryb, dla mieszkańców stałego lądu zupełnie nieznanych. Wśród nich jest bardzo wiele odznaczających się znaczną wielkością, a niektóre z tych gatunków stanowią poważne niebezpieczeństwo nie tylko dla swych towarzyszy wodnych, ale także dla ludzi.

Najbardziej znanym ludojadem wśród ryb jest rekin, należy on do rodziny spodoustych czyli poprzecznoustych. Główną ich cechą jest pięć otworów skrzelowych z każdej strony ciała. Otwór pyskowy jest zaopatrzony w kilka rzędów trójgraniastych zębów. Rekiny dzielą się na kilka odmian. Rekiny niebieskie żyją w morzu Śródziemnem, morzach południowych i Oceanie Atlantyckim. Mają one do 4 m. długości. Rekiny Jonasza mierzą po 9 m. długości, a znajdują się w morzu Śródziemnem.

Rekin niebieski jest ludojadem i bardzo niebezpiecznym. To też przeciw niemu urządzają okręty zacięte polowania. W okolicach Florydy, gdzie rekinów jest bardzo dużo, poluje się na nie przy pomocy specyalnego przyrządu zwanego harpunem. Jest to rodzaj wędki bardzo silnej, gdyż mogącej udźwignąć do 200 funtów ciężaru.

Rybacy wyjeżdżają w łodziach na morze i z łodzi rzucają na krążące rekiny harpun, zaopatrzony na końcu ostrym hakiem, a potem gwałtownem szarpnięciem wyrywają ułowioną zdobycz z fal morskich. Polowanie to jest dosyć trudne i niebezpieczne. Można jednak w ten sposób łowić i duże sztuki.

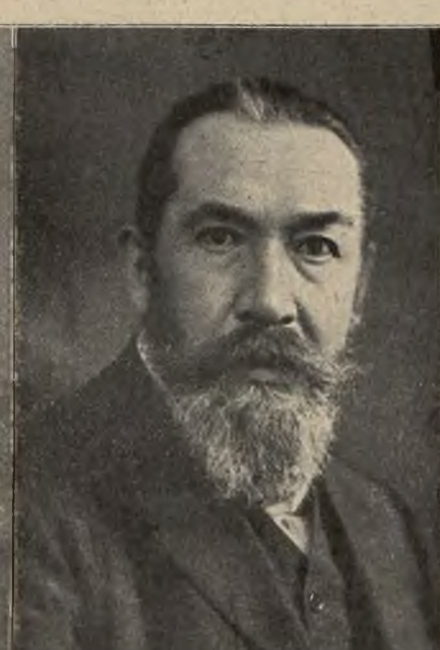
Illustracye nasze przedstawiają szereg zdjęć dokonanych podczas połowu na Florydzie.

Nowa placówka polska.

Uświadomienie ludu polskiego we wschodniej Galicyi zaczyna robić coraz większe postępy dzięki wytężonej pracy szlachetnych jednostek. Wioski, dotychczas zupełnie zaniedbane, zaczynają się zmieniać









Nowi ojcowie m. Lwowa:

Dr. Mikołajski, prezes klubu ludowców. Dr. Dwernicki, prezes klubu centrum. Rad. Riedl, prezes klubu mieszczańskiego. Rad. Soupper, wicepr. klubu katolickiego.



Nowa placówka polska: Ludność polska po Mszy św. w kapliczce, przebudowanej z karczmy, we wsi Zalesiu.

nie do poznania. Do liczby takich należą wsie: Nowosiółka i Zalesie w powiecie Borszczowskim, które, dotychczas zaniedbane ogromnie, wskutek pracy pełnej poświęcenia O. Józefa Leśniaka Bernardyna, zaczynają się budzić do nowego życia. Jego to staraniem założono we wsi Zalesie, kasę Raiffeisena, Kółko rolnicze, drużynę Bartoszową zaś z podarowanej przez hr. Baworowskiego karczmy zrobiono tymczasowo kapliczkę, na wiosnę ma być rozpoczęta budowa kościółka, który zaspokoi duchowe potrzeby ludności polskiej.



Walka z rekinami: Rekin, trafiony pociskiem, wyskakuje ponad wodę.

Jedna z illustracyi naszych przedstawia chwilę, jak lud zachęcony przez ks. Józefa Leśniaka dobrowolnie pracuje koło muru kościółka w Nowosiółce. Na drugiej widzimy kapliczkę w Zalesiu.

Ustąpienie zasłużonego działacza.

W pierwszej połowie marca b. r. ustąpił, wraz z gronem innych osób, z zarządu krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, jego drugi wiceprezes p. Seweryn Böhm, człowiek, który wobec tego Towarzystwa a temsamem i rozwoju sztuki polskiej położył niespożyte zasługi.

P. Böhm, urodzony w Sanoku 1833 r., młodo



Nowa placówka polska: Ludność polska przy budowie muru koło kościółka w Nowosiółce.

wstąpił do wojska austryackiego, z którego po odbyciu kampanii w roku 1854 we Włoszech wystąpił w rok później. W roku 1872 Dyrekcya Towarzystwa, mającego wówczas swą siedzibę w częściowo odrestaurowanym pałacu biskupim, powcłała go do prowadzenia swej kancelaryi w charakterze adjunkta, w roku zaś 1894 mianowała go swym członkiem i sekretarzem. Wreszcie przeszedł p. Böhm jako urzędnik w stan spoczynku po 38-letniej służbie pod znakiem Sztuki w 1910 roku, a wybrany został drugim wiceprezesem Towarzystwa.

Niezmierna pracowitość, wielkie zrozumienie zadań Towarzystwa, niepospolite znawstwo w zakresie malarstwa i rzeźby oraz wrodzony takt i życzliwość wyrobiły mu wśród artystów głębokie sympatye, a u członków zarządu Towarzystwa zaskarbiły mu niepodzielne uznanie. Obywatelską działalność p. Böhma, który jest kawalerem orderu Franciszka Józefa, uznały szerokie sfery naszego miasta, przez

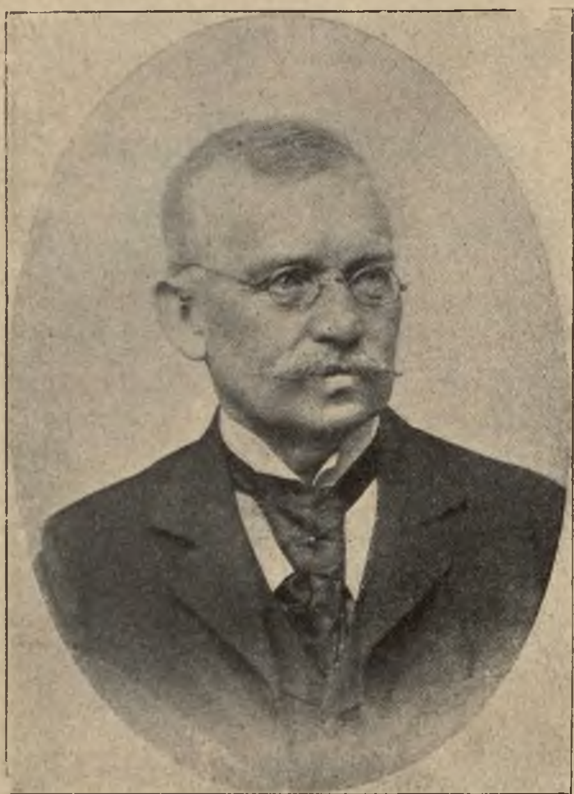


Walka z rekinami: Wyrzucony harpun ugodził w rekina tuż koło łodzi.



Walka z rekinami: Po złowieniu wrzuca się rybę do łodzi.

tyle lat mające sposobność obserwowania go na odpowiedzialnem a bardzo trudnem stanowisku faktycznego kierownika sprawami najstarszego polskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.



Ustąpienie zasłużonego działacza: Seweryn Böhm, b. wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie.



Walka z rekinami: Zdjęcie rekina, który trafiony harpunem, rzuca się w ostatnich drgawkach.

Przygoda ambasadora niemieckiego.

Historya wielkich ludzi niejednokrotnie wylicza wypadki, że w dowód hołdu dla wielkiego geniusza lub artysty rozentuzyazmowany tłum wyprzęgał konie u powozów i obwoził wielkiego człowieka w karocy. Ostatnie dni jednak przyniosły nam dowód, że nietylko sławni ludzie mogą używać takiej specyalnej jazdy. W Londynie odbywa się zwykle otwarcie parlamentu angielskiego z wielkim ceremoniałem. Biorą w niem udział przedstawiciele wszystkich państw, akredytowani na dworze londyńskim i występują przy tej sposobności we wspaniałej gali. Ambasadora niemieckiego, kiedy udawał się na otwarcie ostatniej sesyi parlamentu angielskiego, spotkała niemiła przygoda, która jednak zakończyła się bardzo humorystycznie. W czasie jazdy ulicami spłoszyły się konie u powozu ambasadora i nie chciały ruszyć z miejsca. Po długich utarczkach musiano je wkońcu wyprządz, a ambasadorowi groził spacer piechotą. To jednak nie wypada, więc władze angielskie wpadły na doskonały koncept. Oto do powozu zaprzęgło się kilkunastu londyńskich policyantów i zaciągnęli powóz przed parlament angielski. Ma się rozumieć temu „tryumfalnemu“ pochodowi towarzyszyła uciecha tłumów, które zalegały ulice Londynu. Czy ambasador niemiecki jest wielkością, nie wiemy, faktem jednak jest, że odbył do parlamentu angielskiego bardzo uroczysty wjazd, wprawdzie pod osłoną policyi, ale w każdym razie bardzo okazale.

Illustracya nasza przedstawia powóz ambasadora wraz z oryginalnym zaprzęgiem.



Przygoda ambasadora niemieckiego: Policyanci ciągną powóz ambasadora niemieckiego w Londynie, udającego się na uroczystość otwarcia parlamentu.



Pożar w Konstantynopolu: Straż pożarna przy akcyi ratunkowej.



Znowu sufrażystki: Stacya w Groxley, spalona przez sufrażystki.

Znowu sufrażystki.

Zdaje się, że Anglia długo nie będzie jeszcze miała spokoju ze strony rozbrykanych sufrażystek. Obecnie postawiły one sobie za punkt honoru konkurować skutecznie z pospolitymi rzezimieszkami. Po zamachu dynamitowym, po spaleniu kiosku herbacianego, rozpoczęły obecnie ataki na dworce kolejowe. Aby świat o nich nie zapominał, sufrażystki przed kilku dniami spaliły pod Londynem stacyę kolejową. Wprawdzie na miejscu pożaru żadnej z nich nie przychwycono, ale zato znaleziono plakaty z napisami „Votes for Women", które rozrzucone były wśród zgliszcz.

Władze wzięły się energicznie do ścigania tych nowomodnych zbrodniarek. Zdaje się, że agitacya sufrażystek, prowadzona takimi środkami, zakończy rychło swój żywot, gdy większość przywódczyń znajdzie się za kratkami więzienia, na co wobec ostatnich zajść poważnie się zanosi.

Illustracya nasza przedstawia spalony budynek stacyjny.

Katastrofa kolejowa.

Geniusz ludzki, który może poszczycić się tylu zdobyczami na polu wynalazków, oddających siły przyrody na użytek człowieka, jest jednak bezsilny wobec błędów natury ludzkiej... Stworzył koleje, lecz — nie może zapobiedz katastrofom, które są zjawiskiem tak samo stałem, jak ruch pociągów... W tych dniach wydarzyła się znowu katastrofa kolejowa na stacyi w Mościskach w Galicyi. Pociąg towarowy Nr. 179 wjechał na stojący drugi pociąg, skutkiem czego 7 wagonów zostało zdruzgotanych, a 3 ludzi z obsługi kolejowej przypłaciło ten wypadek życiem. Zginęli mianowicie kierownik wjeżdżającego pociągu Józef Mierzyński, oraz dwaj konduktorzy Grzegorz Fedyna i Ignacy Śledź.

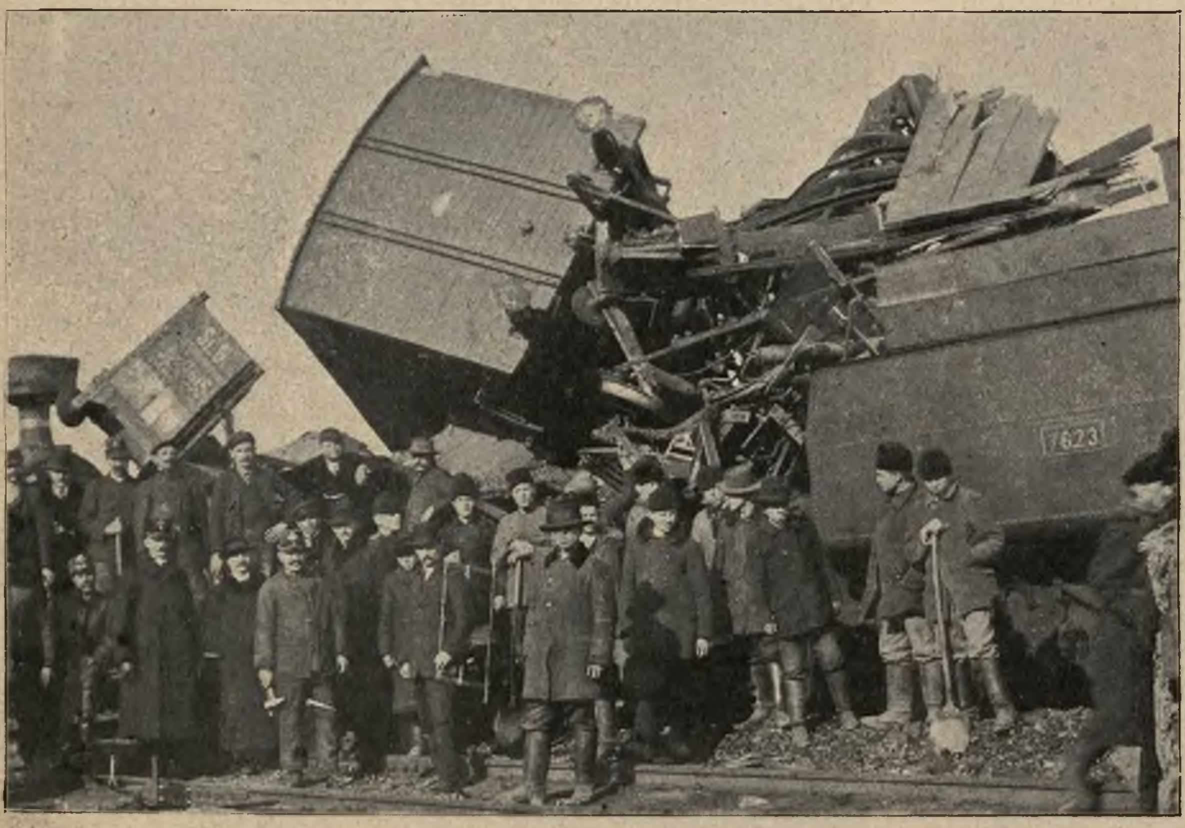
Zgon kapłana-pedagoga.

Seminaryum nauczycielskie męskie we Lwowie poniosło bolesną stratę przez śmierć długoletniego dyrektora tego zakładu, ks. Walentego Wołcza, szambelana papieskiego i kawalera orderu Franciszka Józefa. S. p. ks. Wołcz liczył lat 59, a pracy pedagogicznej poświęcił długie lata swego życia. Wielką troską otaczał seminaryum jako jego kierownik, opiekował się też szczerze młodzieżą obojga narodowości, traktując wszystkich z równą sprawiedliwością. Dużo pracy poświęcił też urzeczywistnieniu budowy nowego, wspaniałego gmachu dla seminaryum. Otaczała go szacunkiem i miłością młodzież, cieszył się sympatyą rodziców młodzieży, oddanej jego pieczy i szerokich gron obywatelstwa lwowskiego.

Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadziły go ubiegłej soboty tłumy publiczności i setki młodzieży szkolnej obojga płci, grono reprezentantów Rady szkolnej krajowej, nauczycielstwo i duchowieństwo.



Katastrofa kolejowa: Zderzenie pociągów na stacyi w Mościskach. (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Katastrofa kolejowa: Spiętrzone wagony na stacyi w Mościskach. (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Zgon kapłana-pedagoga: Ś. p. ks. Walenty Wołcz, dyrektor seminaryum nauczycielskiego męskiego we Lwowie.

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

1

Przed burzą.

Zbudziły mnie nad ranem dalekie pomruki zbliżającej się burzy. Wyjrzałem oknem i jednem spojrzeniem objąłem groźne chmury, które, czarne i ponure, zbliżały się z oddali. Chwilami słabe promienie światła przedzierały się przez te ciemne kłębiące się masy obłoków. W dole leżało morze, jeszcze spokojne. Bałwany toczyły się leniwie ku wybrzeżu, ołowiano-szare, roztrącając swe grzbiety o skały nadbrzeżne, które okalały zatokę.

Przestwór morza wyglądał, jakby wymarła pustynia. Białe płaty piany tańczyły tylko na falach u stóp skały Deadlow i dwóch sąsiednich, które ogólnie zwano „bliźniakami". Te białe smugi jedynie urozmaicały ponury krajobraz. Dziwna cisza, pełna wewnętrznego niepokoju, napełniała powietrze; wiatr ucichł zupełnie i najlżejszy zefirek nie muskał powierzchni wód. Po pierwszych, odległych grzmotach, burza zamilkła, choć wisiała w powietrzu, jakby gotując się do gwałtownego i nagłego wybuchu.

Kiedy w kilka godzin potem wszedłem do jadalnego pokoju, zastałem matkę, krzątającą się przy stole. Poczciwa staruszka drżącemi rękami przygotowywała mi kawę.

— Znowu straszna słota dzisiaj, Hugonie! — westchnęła.

— A tak — odparłem — nad morzem zbiera się wielka burza. Czy słyszałaś, jak przedtem grzmiało?

Skinęła potakująco głową.

— Może przecież dzisiaj nie będziesz musiał wyjeżdżać na morze w łodzi ratunkowej. Znowu miałam dzisiaj taki straszny sen. Widziałam, jak ty i inni marynarze wsiedliście do łodzi i wypłynęli na pełne morze. Słońce cudnie świeciło. Wtem nagle ściemniło się, niebo zasnuło się chmurami, tak jak teraz. Fala zaczęła rosnąć, a wy rzucani na wszystkie strony, staraliście się dobić do wybrzeża. Nadaremne jednak były wasze wysiłki. Łódź wasza, gnana wiatrem, popłynęła jak strzała na pełne morze...

— Sen-mara, matko — roześmiałem się. — Nasza „Joanna" — tak nazywała się łódź ratunkowa — dzisiaj prawdopodobnie nic nie będzie miała do roboty. Na morzu nigdzie wokoło nie widać żadnego żagla. A jeśliby już tak wypadło, że musiałbym dzisiaj wśród burzy wyruszyć na morze, to wolę stokroć naszą „Joannę", niż największe statki londyńskie, lub trójmasztowe liverpoolskie. Znam tę łódź.

Po śniadaniu ruszyłem na wybrzeże, aby obejrzeć łódź ratunkową, której dowódcą byłem od dwóch lat. Mimo mych młodych lat zajmowałem tak odpowiedzialne stanowisko dzięki bardzo smutnej historyi. Mój ojciec przez szereg lat jako kapitan dowodził okrętami handlowymi. Uciuławszy trochę grosza, umieścił go w kilku ładunkach okrętowych, które przeznaczone do sprzedaży za Oceanem miały mu przynieść znaczny dochód. Było to coś około piętnaście lat przed chwilą, gdy zaczyna się to opowiadanie. Ojciec podjął podróż próbną nowiutkim statkiem, który miał z Swansei wziąć ładunek przeznaczony do południowej Ameryki. Zale dwie jednak piękny trójmasztowiec znalazł się na wysokości przylądka North-Foreland, zerwała się straszna burza morska, w czasie której okręt zatonął. Nadarmo załoga wzywała pomocy, nie pomogły sygnały ratunkowe, ani strzały z moździerzy i rakiety, którymi wzywano ratunku; kiedy wreszcie zdołano zbliżyć się na łodziach do ginącego statku, ten już pogrążał się w falach, a większość załogi, liczącej dwudziestu sześciu ludzi, znalazła śmierć w Oceanie. Mój ojciec także zginął. Śmierć ta wstrząsnęła bardzo moim wujem, Grzegorzem Tregarthenem, bogatym kupcem z Londynu, który na pamiątkę tragicznego zgonu swego brata kazał na swój koszt zbudować łódź ratunkową i podarował ją miastu rodzinnemu ojca. Na imię dano łodzi tej imię mej matki „Joanna". Kiedy się to działo, ja byłem jeszcze małym chłopakiem, ale już wtedy uchodziłem za prawdziwego szczura wodnego. Kiedy doszedłem do lat dwudziestu, miałem już wyrobioną sławę, jako jeden z najodważniejszych i najzdolniejszych sterników naszego wybrzeża.

Kiedy mój poprzednik, dowódca „Joanny" się postarzał i swe stanowisko opuścił, ja objąłem po nim władzę, a w przeciągu tych dwóch lat „Joanna" uratowała życie dwudziestu trzem mężczyznom, pięciu kobietom i dwojgu dzieciom...

Nim owego pamiętnego dnia wszedłem do szopy, w której pomieszczona była łódź, zapaliłem sobie fajkę. Uderzyło mnie, iż powietrze jest jakby skamieniałe Płomień zapałki nie chwiał się nawet. Tylko fale przy wybrzeżu szły coraz wyżej, a w ich uderzaniu i hałasie, z jakim o skały się rozbijały, dźwięczał jakiś pusty, przejmujący ton.

Stado mew z głośnym krzykiem okrążało „Bliźniaki" i skałę Deadlow. Zamiast z góry rzucać się w morze, aby nagle potem wzlatywać z zdobytym łupem, ptaki niespokojnie krążyły nad wodą, jakby wyglądając ku oceanowi, który przez wąski wjazd wśród skał wtaczał swe fale do naszej spokojnej zatoki.

Niedaleko od szopy, gdzie złożona była łódź, stała chata strażnika nadbrzeżnego, a obok niej wznosił się wysoki maszt do podnoszenia flag. Z dużą lornetą pod pachą stał właśnie we drzwiach chaty strażnik i rozmawiał ze starym marynarzem, Izaakiem Jordanem. Za chatą wznosiły się w górę spadziste i czarne skały, nad którémi królowała góra, zwana „Górą burz", gdyż ona osłaniała doskonale nasze wybrzeże przed srogimi wiatrami z północy.

Od przylądka, na którym stała szopa z łodzią, ciągnął się stary drewniany wał, zataczając wielkie półkole, daleko w głąb zatoki. Przeszło pięćdziesiąt lat fale i burze morskie rozbijały się o te stare belki. Gdy morze było spokojne, wyładowywał czasem jaki okręt węglowy tutaj swój ładunek. Czasem zaś, gdy przychodził czas wielkiego połowu, pod starem belkowaniem wypoczywały zgrabne barki rybackie z Penzance. Dzisiaj jednak na całem morzu, od brzegu aż po granice horyzontu, nie można było spostrzedz żadnego żagla. Także i wybrzeże było puste i ciche, tylko niedaleko walu kilku marynarzy wyciągało wyżej na piasek swe łodzie, gdyż prognoza atmosferyczna stawała się coraz gorsza.

Otworzyłem szopę i obejrzałem „Joannę". Z zadowoleniem przekonałem się, że wszystko jest w porządku i łódź każdej chwili może wyruszyć na morze. Aby ją spuścić na wodę, od szopy prowadził pochyło drewniany pomost, który sięgał tak daleko w wodę, aby i przy nizkim jej stanie można łódź w dół zepchnąć.

Kiedy stałem jeszcze, przypatrując się łodzi, spostrzegłem, że Izaak Jordan powoli ruszył w mą stronę. Stary był znany jako dziwak i kilka mil wokoło nie było drugiego takiego oryginała. Twarz jego była jakby zwietrzała, poorana niezliczonymi zmarszczkami, zaś oczy patrzyły w świat smętnie, głęboko osadzone nie miały określonej barwy. W tym względzie zgadzały się w zupełności z jego kurtką marynarską, która dobitnie wskazywała na to, że niejedna burza po niej przeszła. Z pod warg zapadłych ust błyszczał jeden jedyny wielki ząb, ciemnobrązowy już od gryzienia tytoniu.

Jordan nie pochodził z tych okolic. Przed blizko pięćdziesięciu laty burze zagnały do naszej zatoki rozbity okręt, na którego pokładzie znaleziono na pół żywego człowieka. Kiedy po pewnym czasie zdołano przyprowadzić go do przytomności, okazało się, że stracił zupełnie pamięć. Nawet nazwiska swego nie mógł sobie przypomnieć. Po kilkunastu latach, dzięki dziwnemu jakiemuś wypadkowi, odzyskał znowu pamięć, ale już nie opuścił gościnnej zatoki, gdzie przed laty znalazł przytułek. Jedynie chodził nad morze, aby złapać sobie trochę ryb, albo też najmował się czasem do noszenia worków na okrętach, aby zarobić na tytoń.

— Dzień dobry, panie Tregarthen — zawołał podchodząc — dzisiaj będziemy mieli robotę, co? — wskazał na morze.

— Zdaje się — odrzekłem. — A kiedy, sądzicie, zacznie się burza?

— O! na to jeszcze czas — orzekł, badając spojrzeniem znawcy ołowiane chmury, wiszące nad morzem, z których zaczynały właśnie padać pierwsze krople deszczu. — Do wieczora jeszcze jako tako się utrzyma, jeśli jakiś gwałtowny piorun niespodziewanie nie roztworzy tych worków dżdżu tam na górze.

Piorun taki nie zjawił się, a deszcz wnet przestał padać. W tajemniczej ciszy, jaka panowała, każdy dźwięk słychać było bardzo daleko. Z nad brzegu dochodziły nawoływania i okrzyki marynarzy, rozróżnić można było tarcie spodów łodzi o piasek, nawet z dalekiego miasteczka przez powietrze przenikał suchy turkot jadących po bruku wozów.

Blizko dwie godziny spędziłem nad morzem, obserwując zmiany atmosfery. Nic jednak na lepsze się nie zmieniło. Zauważyłem tylko, że od morza ciągnie dziwny zapach psującej się słonej wody, zapach, którego nigdy jeszcze na naszem wybrzeżu nie obserwowałem. Jeden z moich marynarzy, należących do załogi „Joanny", który właśnie wrócił z Góry burz, skąd obserwował okolicę, wyjaśnił mi, że są to wyziewy morza wzburzonego gwałtownym wichrem, które nieraz na kilka mil wokoło zatruwają powietrze.

— Nie widać żadnego okrętu? — zapytałem.

— W północy coś się pokazuje.

— Zapewne będzie to parowiec — odpowiedziałem — żaden żaglowiec nie odważyłby się dzisiaj ruszyć na morze wobec zupełnej ciszy.

Pożegnałem się następnie z towarzyszami i podążyłem powoli ku domowi, gdyż o pierwszej zwykle jedliśmy obiad.

Matka powitała mnie, pełna niepokoju i wypytywała się o pogodę.

— Prawdopodobnie będziemy mieli burzę!

— Na morzu niema chyba żadnego statku? — dopytywała się.

Nie — uspokoiłem ją — tylko w kierunku północno-zachodnim pokazało się coś białego, co robiło wrażenie żagla.

Pokiwała głową i zabrała się do czytania gazety, ja zaś sięgnąłem po ulubioną fajkę. Kiedy tak siedzieliśmy razem w zaciszu domowem, zapukał ktoś w okno. Pobiegłem i otworzyłem. Pod niem stał proboszcz z Tintrenale, John Trembath; zaprosiłem go do środka.

— Prawdopodobnie będzie pan dzisiaj miał jeszcze robotę, panie Tregarthen — rzekł po przywitaniu się. Właśnie opowiadał mi stary Roscorla, że z „Nosa biskupiego" widziano ną zachodzie żaglowiec, który płynie w kierunku naszej zatoki.

— Boże, zmiłuj się nad nim, jeśli dostaniemy wiatr zachodni — zawołałem.

— Już go mamy — odpowiedział Mr. Trembath.

— Żeby się też ta pogoda troszkę wyjaśniła — narzekała moja matka. — Tak się boję. Mam wrażenie, że grozi nam dzisiaj jeszcze jakieś groźne niebezpieczeństwo. Czy ojciec wierzy w sny, Mr. Trembath?

— Nie — odpowiedział ksiądz krótko. — Cóż się to takiego pani śniło?

Matka zaczęła szeroko opowiadać. Ksiądz słuchał, kiwając głową, wreszcie roześmiał się.

— Baj, baju! Pewnie popsuła sobie pani wczoraj żołądek. Lepiej trzeba się było napić przed spaniem lampkę dobrego likieru wiśniowego, jaki pani umie wyrabiać. Nie trapiłaby się pani obecnie tak smutnemi myślami.

Proboszcz, wypiwszy lampkę ulubionego likieru, poszedł do domu, ja zaś wybiegłem znowu na brzeg, aby zbadać sytuacyę. Powietrze zmieniło się trochę. Chmury skupiły się jeszcze bardziej, a nad całą okolicą, mimo dosyć wczesnej godziny, zaległ półmrok, jaki zwykle bywa po zachodzie słońca. W zatoce lekki wiatr zaczął podnosić fale, koło „Bliźniaków" zaś i Deadlowa morze już grzmiało rozgłośnie.

Napróżno starałem się odszukać na horyzoncie zapowiedziany żagiel. Zatoka była pusta, a na zachód widok zasłaniała wysoka Góra burz. Znudzony bezowocnemi poszukiwaniami zszedłem ku samemu morzu, na koniec wału, gdzie zgromadziło się kilkunastu rybaków i majtków, między którymi zauważyłem także kilku ludzi z załogi „Joanny".

Okręt w zatoce.

Okręt, dostrzeżony na widnokręgu, mógł lada chwila zawinąć do zatoki, o ile tymczasem nie zmienił kierunku. Czekaliśmy jednak jeszcze pół godziny, zanim ukazał się naszym oczom poza skałami, leżącemi u wejścia do zatoki.

Była to zgrabna barka o pojemności około czterystu ton. Lekki wiatr zachodni popychał ją powoli ku brzegowi, mimo, iż od pokładu, aż do szczytu masztów pokryta była żaglami.

— To jakiś obcy okręt — zauważył któryś z marynarzy.

— A tak — odpowiedziałem, przyglądając się dokładnie najdziwniejszemu statkowi przez moją lunetę, której doskonałość już nieraz wypróbowałem — takiej na zielono malowanej burty nie ma żaden statek angielski. O, właśnie wywiesza flagę. To Duńczyk.

— Czego ten tu szuka? — rzucił inny z otaczających.

— Może kapitan się upił! — podjął ze śmiechem jeden z młodszych.

— Albo też jest mądrzejszy, niż my i wie, skąd dzisiaj w nocy wiatr będzie dął — bronił kapitana nieznanego statku stary wilk morski.

— Hm! — zauważyłem — jeśli będziemy mieli

wiatr północny, to barka ta w przystani najlepiej będzie zabezpieczona. Ale, jeśli burza obróci się od zachodu, to korzystniej byłoby dla niej zatrzymać się na pełnem morzu. Może jednak na pokładzie znajduje się ktoś chory, a nawet umarły!

Tymczasem na pokładzie Duńczyka rozpoczął się żywy ruch. Zwijano żagle, ale robota ta szła tak powoli i wykonywana była z tak wielkim zachodem, że każdy znawca odrazu mógł dostrzedz, iż na statku za mało jest ludzi do obsługi. Przez lunetę zauważyłem krępą postać jakiegoś mężczyzny, który z pomostu kapitana wydawał rozkazy, oraz drugiego, który biegał po pokładzie tu i tam, czasami zaś zatrzymywał się, badając przez lunetę miasteczko i wybrzeże.

Pięciu z moich towarzyszy zepchnęło w morze wielką łódź, której używano zwykle, gdy trzeba było na pokład jakiegoś statku zawieźć pilota. Barka tymczasem zbliżyła się do wybrzeża na odległość mili, a kiedy nasza łódź do niej przybiła, spuszczano właśnie żagle górne pod bocianiem gniazdem. W kilka chwil potem spadła kotwica i okręt zwrócił się pod wiatr.

W naszej małej mieścinie przybycie większego statku należało do wypadków tak wyjątkowych, że wywołało całkiem zrozumiałe podniecenie w mojem otoczeniu. Niejeden liczył już na jakiś większy zarobek. Nadzieje te jednak odrazu zawiodły. Po bardzo krótkiej chwili łódź nasza zawróciła i powoli popłynęła ku brzegowi. Zaraz też po tym manewrze poznano, że na obcym okręcie niema nic do roboty dla naszych zuchów. Kiedy łódź wyciągnięto znowu na piasek, zapytałem jednego z marynarzy o imię obcego statku.

— Nazywa się „Anina“ – brzmiała odpowiedź.

— A cóż jej się stało?

— A nic, boją się burzy. Okręt płynie z Cuxhaven i dąży do jakiegoś Porty-Allegy, podobno gdzieś w Brazylii.

— Może Porto-Allegro? — sprostowałem.

— Tak, tak, coś takiego nam powiedziano. Kapitan jest ciężko chory, a pierwszy sternik złamał sobie nogę na wysokości Texelu i musiano go na ląd wysadzić. O ile zrozumiałem, prowadzi obecnie okręt stolarz okrętowy, który zarazem jest drugim sternikiem.

— A dlaczego tutaj zawinął?

— Tego nie wiem - odpowiedział – Z gadaniny tego pana Damma, tak zwie się bowiem ów stolarz, nie wiele zrozumiałem.

— To ciekawe — zauważyłem — Okręt, który płynie do Porto-Allegro, nie powinien był kierować się w naszą stronę.

.....Zegar na kościele w mieście wybił właśnie piątą. Z pokładu „Aniny“ zawtórował mu dzwonek okrętowy. Przypomniało mi to, że matka czeka w domu z podwieczorkiem, zawróciłem więc, a po drodze przyłączył się do mnie jeden z tych, którzy byli pod Duńczykiem i rozmawiali z obcą załogą. Kręcił on bardzo głową nad całą sprawą, wreszcie rzekł:

— Jeśli ten Duńczyk zna się choć trochę na żeglarstwie, to powinien — mojem zdaniem, panie Tregarthen — jak najprędzej podnieść kotwicę i ruszyć na pełne morze, zanim będzie zapóźno.

— Toście kapitana samego nie widzieli? Przecież na pokładzie, o ile stąd dostrzegłem, dwóch ludzi dowodziło. Przypuszczałem, że jeden z nich to kapitan, a drugi sternik.

- Nie, panie. Kapitana zupełnie nie było na górze. Podobno leży ciężko chory w kajucie. Komendę prowadzi właśnie ów stolarz Damm, a ten drugi, którego pan widziałeś, to jakiś młody chłopak, który nie dowodzi statkiem. Zna on się jednak na wszystkiem i umie wszystkiego dojrzeć. Przypuszczam, że to syn kapitana.

— A może — spojrzałem na ciężkie, ołowiane chmury na nieboskłonie — burza jakoś się rozejdzie i tym razem ominie nas i „Aninę“ nieszczęście.

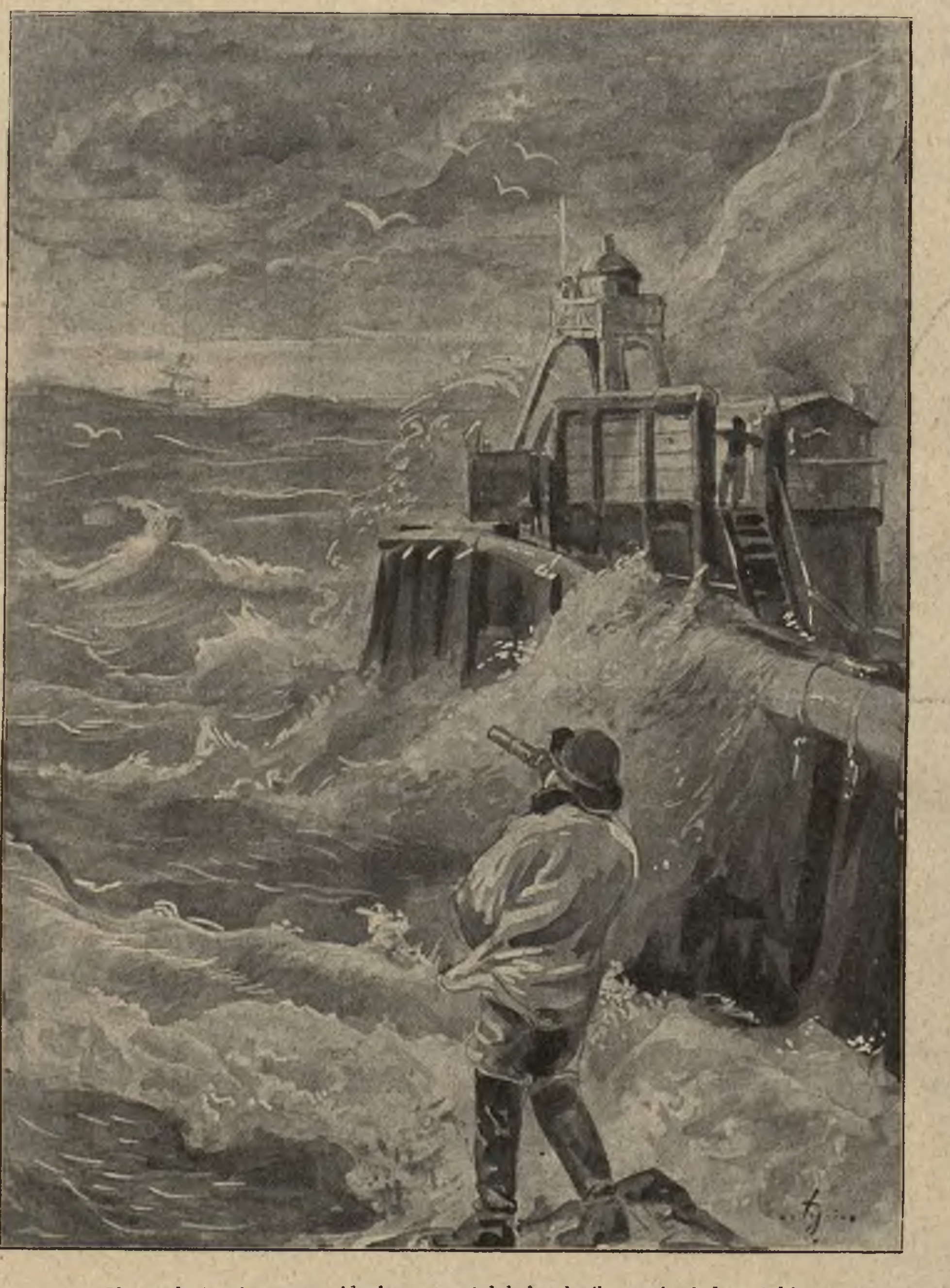
Mój towarzysz wstrząsnął przecząco głową.

— Barometr nie kłamie, panie Tregarthen, a spada wprawdzie powoli, ale ciągle. Przypominam sobie burzę, przed którą morze dwa dni było także ciche jak teraz. Właśnie ta zupełna cisza, bez wiatru, jest najgorszą oznaką.

Ukłonił mi się i skręcił w boczną uliczkę portową, kierując się ku domowi. W duszy przyznawałem mu zupełną racyę. Od kilku chwil w powietrzu zapanowała wprost głucha cisza. Nawet ów lekki wietrzyk, który zapędził „Aninę“ do naszej przystani, ustał zupełnie. Spokój ten czynił jakieś przejmujące i groźne wrażenie.

Kiedy przyszedłem do domu, zastałem matkę bardzo zaniepokojoną. Ukazanie się obcego statku przeraziło ją więcej jeszcze, niż ranny sen. Opowiedziałem jej więc wszystko, czego dowiedziałem się o „Aninie“ i jej załodze, ale wiadomości te, zamiast uspokoić jej obawy, jeszcze bardziej ją rozdrażniły. Narzekała na lekkomyślność Duńczyków, którzy nie chcieli słuchać dobrych rad naszych marynarzy, a gotowi teraz się rozbić i zmusić nas do narażania się, aby ich ratować.

— Co u licha zapędziło ich tutaj między skały? Każdy rozumny żeglarz uciekałby stąd czemprędzej — rzuciła na zakończenie, nalewając mi drżącemi rękami herbatę.



Okręt, dostrzeżony na widnokręgu, mógł lada chwila zawinąć do zatoki.

— Ależ, matko — rzekłem zdziwiony — skądże nagle u ciebie takie rozdrażnienie? Ty, która tak mało zajmujesz się cudzemi sprawami...

— Sama nie wiem, skąd mi się to dziś wzięło — westchnęła. — Takam dzisiaj niespokojna, jakbym przeczuwała, że stanie się jakieś nieszczęście. Słuchajno!

Długi, świszczący ton, wydobywający się z komina, przerwał jej w pół zdania.

— Masz! — słyszysz? — powtórzyła.

— Zaczyna się, matko — rzekłem. — Muszę wyjrzeć na pole.

Szybko wybiegłem do sieni i otworzyłem drzwi. Gwałtowny podmuch wichru, idący od morza, wyrwał mi je prawie z ręki, tak, że musiałem całej siły użyć, aby je z powrotem zamknąć. Mimo, iż nie było jeszcze szóstej godziny, na dworze panował już gęsty mrok. Kiedy odsłoniłem okno, aby spojrzeć na morze, zobaczyłem w szybie tylko odbicie własnej twarzy. Za oknem panowały ciemności, nie pozwalające nic dostrzedz. Po chwili dopiero rozróżniłem w zatoce żółty blask latarni przedniej duńskiego okrętu.

— Skąd wiatr dmie? — spytała matka.

— Z południowego zachodu.

Odpowiedź moja utonęła prawie w piekielnym hałasie, jaki nagle rozległ się za oknami. Wicher rozszalał się w całej pełni, wył i gwizdał, chwilami następowały jednak momenty zupełnej ciszy, tak, iż zdawało się, że burza milknie. Po każdej takiej przerwie świst i huk zrywał się no nowo, potęgując się coraz bardziej. Robiło to na mnie wrażenie, że duchy zmarłych marynarzy zwołują się donośnymi sygnałami.

Wnet z wyciem wichru zmieszał się huk fal rozbijających się wściekle o wybrzeże i szum gwałtownego deszczu. Dwa razy dostrzegłem błyskawice.

Matka moja tak się przeraziła, że siedziała, jakby skamieniała, nie odzywając się zupełnie. Raz tylko zerwała się z głośnym okrzykiem, kiedy około ósmej wieczorem, zaczęto się nagle dobijać do naszych drzwi Pospieszyłem, aby otworzyć i wraz z gwałtownem uderzeniem wiatru wpadł do sieni Mr. Trembath Aby drzwi z powrotem zamknąć, musiałem z całej siły je podeprzeć, gdyż zdawało się, że wiatr przewróci je razem ze mną.

— Co za czas! Co za czas! — wyrzucił z siebie proboszcz, łapiąc ustami powietrze, kiedy pomagałem mu przy zrzucaniu zupełnie przemoczonego płaszcza.

— Proszę dalej, Mr. Trembath — zapraszałem — zdaje się, że wiatr dał się księdzu dobre we znaki.

— Duchowny nie może się tak samo bać wiatru i burzy, jak marynarz — odrzucił proboszcz. W pokoju przywitał się z matką.

— Chciałem się rozejrzeć trochę po świecie i wyjrzeć na morze. Zdaje mi się, panie Tregarthen, że dzisiaj w nocy nie będzie pan mógł spokojnie w domu siedzieć. Czy pan sądzi, że duński okręt potrafi przy tej strasznej burzy utrzymać się na kotwicy?

— Poco on tu wogóle przyjechał? — rzuciła gwałtownie moja matka.

— Mówiłem właśnie przed chwilą z młodym Beckerleyem — opowiadał Mr. Trembath — ludzie coś rozpowiadają o buncie na pokładzie Duńczyka.

— O tem nic nie słyszałem — odparłem zdziwiony.

— Czy był bunt, czy nie — dowodził proboszcz — kapitan w każdym razie nie miał prawa, wystawiać statek na tak wielkie niebezpieczeństwo.

— Ależ, kapitan sam podobno jest ciężko chory — zaprotestowałem.

Mr. Trembath nie zwrócił uwagi na moje słowa, podszedł do okna i chciał wyjrzeć na pole. Ciemności na dworze panowały jednak tak wielkie, że tafle szklane okna robiły wrażenie mokrych deseczek hebanowych.

— Tuż za światełkiem okrętu wznoszą się skały — zwrócił się do mnie proboszcz, wracając do stołu. — Jakże łatwo w czasie burzy może kotwica się obluźnić, albo pęknąć łańcuch kotwiczny, a wtedy nieszczęśliwy statek runie wprost na skały. Załoga w ciemności nawet nie będzie o tem wiedziała. Boże, chroń wtedy nieszczęśliwych!

— Sternik Pentreath stoi zapewne na straży? — zapytała matka.

— Ma się rozumieć — przytaknąłem. — Zresztą Duńczycy są równie dobrymi żeglarzami, jak Anglicy i spostrzegą, jeśli ich statek znajdzie się w niebezpieczeństwie. W każdym razie i my musimy być przygotowani, aby każdej chwili pospieszyć im z pomocą.

— I my? – zapytał Mr. Trembath, rzucając przy tem niespokojne spojrzenie na moją matkę. — Czyż pan, Tregarthen, odważyłby się wyruszyć na morze w taką burzliwą noc?

— Jestem przecież dowódcą łodzi ratunkowej — rzuciłem zimno.

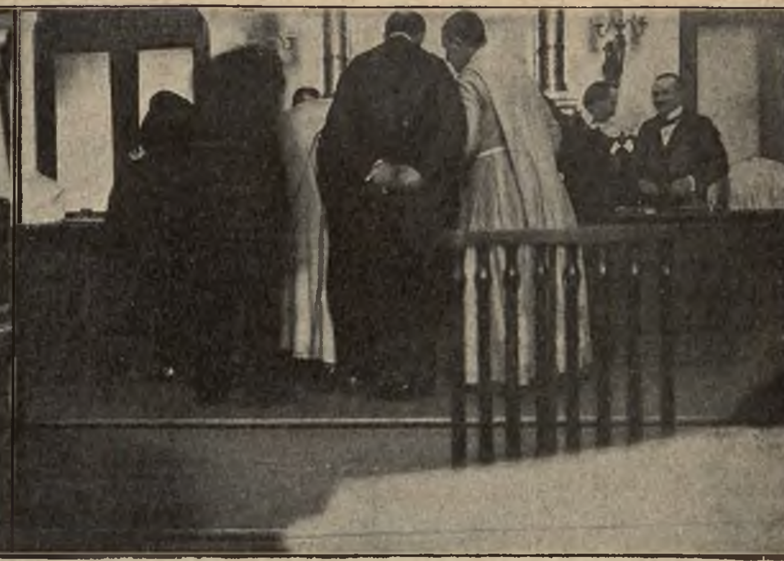
Ciąg dalszy nastąpi.



Przewodniczący sądu, p. Dumitraszko.



O kościół w Błoniu:
Prokurator p. Sołowiew.



Obrońcy oglądają plan m. Błonia.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Obywatele ziemscy pp. Mańkowski i Wesołowski.



O kościół w Błoniu: Oskarżeni przed gmachem sądu w Warszawie:
P. Mańkowski, Leon Świerczyński i Gutkowski.



P. Tomasz i Wiktor Jaworscy.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Oskarżony ks. Kostrzewski.



O kościół w Błoniu:
Duchowni maryawiccy Tułaba (obrońca) i Pągowski,
(zasłania się przed aparatem fotograficznym).



Oskarżeni pp. Rutkowski i Gudzand.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Maryawita Jan Zembrzycki.



O kościół w Błoniu:
Maryawici spieszą do sądu.



Maryawici Socha i Ługowski.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Właśnie zakasałem rękawy i chwyciłem za pióro, gdy wtem zapukał do drzwi „bryftregier" i doręczył mi wonny, różowy liścik. Pewny byłem, że to *billet doux* od którejś z mych licznych wielbicielek, prawie codziennie zasypujących mnie formalnie listami miłosnymi, zawierającymi zwykle prośbę o pukiel mych kędziorów na pamiątkę. Biedne niewiasty sądzą, że mam tak bujną czuprynę, jak co najmniej mistrz Paderewski, tymczasem czoło moje sięga już prawie do kołnierza, czyli, że łysina dochodzi prawie do pełni.

Tego rodzaju listy chowam głęboko, bojąc się, by nie dostały się przypadkowo w niepowołane ręce, przedewszystkiem bowiem cenię spokój domowy.

Tym razem pomyliłem się nieco, gdyż, po otwarciu koperty, wyczytałem, co następuje:

„Panie!

W numerze 11. warszawskiego *Tygodnika illustrowanego* z dnia 15. marca 1913, na str. 218 znalazłam wierszyk p. t. „Ustatkowany", który tutaj pozwolę sobie dosłownie przytoczyć:

Sieć zmarszczek legła mi na czole,
Wzrok osłabł, łysa głowa,
Drżą nogi, w boku strasznie kole,
Od kaszlu schrypła mowa,
Bezsenność, częste serca bicie,
Apetyt wzięło licho,
Wychudłem wszak niepospolicie?
Puls bije słabo, cicho.
Nie zbawi żaden już konował,
Co radzisz, przyjacielu?
— Gdyż się już, bracie, ustatkował,
Żeń się, tak czyni wielu!...

Ponieważ osnowa tej niby poezyi zawiera w sobie znamiona zbrodni i to nie bylejakiej, powinna była c. k. prokuratorya wiersz ten skonfiskować, a cały nakład pomienionego pisma zniszczyć, by nie oglądał światła dziennego.

Więc dzisiaj, gdy my, polskie sufrażystki, w sposób lojalny i nie sprzeciwiający się ustawom, upominamy się o swe prawa, wy, przebrzydłe samce, tą bronią z nami walczycie i obiecujecie nam mężów, którzy tylko kaszlą i pier...si ich bolą? ...Do bani z takimi ustatkowanymi! Możecie ich sobie schować dla siebie, my o takich mężów kopii kruszyć nie będziemy.

Czy ten wiersz ma być zachętą dla młodego pokolenia, by wstępowało w związki małżeńskie i zapobiegło wyludnieniu kraju, na co już statystycy zaczynają narzekać?

Ja nie zerwałam z wami jeszcze wszystkich stosunków i gotową jestem, gdyby do tego przyszło, podać swą rękę do zgody, zwracam jednak uwagę, tak pańską, gdyż często na nas napadasz, jak i innych mężczyzn, przedewszystkiem zaś autora pomienionego wierszyka, byście nas niepotrzebnie nie drażnili... Kropla po kropli, a może się przelać!

Pismo moje uważajcie jako ultimatum, po polityce słów przejdziemy do polityki czynu, a nie wiem, czy będziecie z tego zadowoleni.

Przyjm pan... i t. d.".

Być może, że czcigodna sufrażystka ma racyę, to w każdym razie jest pochwały godnem, że nie pali za sobą mostów, ale oświadcza gotowość do zgody ze znienawidzonym rodzajem męskim, byle on nie był „ustatkowany"...

Takich nam więcej, a będzie spokój, zadowoli się nawet kierownika miejskiego biura statystycznego, narzekającego na zmniejszającą się coraz bardziej liczbę urodzin.

Zapewne niejedna z Szan. Czytelniczek, rzuciwszy okiem na początek kroniki i ujrzawszy tam słowa: „właśnie zakasałem rękawy"... pomyślała sobie, że jestem przykładnym małżonkiem, pomagającym swej połowicy w przygotowaniach przedświątecznych.

Jeśli tak myślała, nie pomyliła się wcale, przez cały wielki tydzień pracuję z zaparciem się po prostu siebie... Najpierw kazano mi trzeć mak w donicy, bo żadna z niewiast nie miała dość sił do tego, potem obierać rodzynki i migdały.

To było najgorsze! Aby sobie ulżyć w robocie, zjadłem połowę owych słodkości i już przed świętami nabawiłem się lekkiej niedyspozycyi żołądkowej. Wobec tego, zamiast wina węgierskiego piję już drugą flachę Hunyadego, by powrócić do normalnego stanu możliwie jeszcze przed święconem. Jako zdeklarowany konserwatysta pielęgnuję z pietyzmem stare zwyczaje, zwłaszcza, o ile one połączone są z obfitym wyżerunkiem..

Niech Pan Bóg da zdrowie temu panu ministrowi spraw zagranicznych! Dzięki demobilizacyi stosunki finansowe poprawiły się lekko przed samemi świętami, będzie więc ochocza zabawa przez trzy dni z rzędu! Szkoda tylko, że od wtorku zaczęła się coś psuć pogoda, a mój niezawodny barometr (w kolanach!... przyp. zecera) zapowiada zmianę. Potwierdza to i prognoza, wiedeńskiego Zakładu meteorologicznego, którego kierownicy cierpią także na reumatyzm.

Dla informacyi i pociechy tych, którzy, podobnie jak ja, chcą święta należycie obchodzić, przytoczyć muszę sprawozdanie z „Kuryerka Illustrowanego", p. t. *Umiarkowanie w jedzeniu szkodzi zdrowiu.*

Zacny autor, podobno jakiś dr. Watson (kto wie, czy to nie jest ów przyjaciel słynnego Sherlocka Holmesa!...) powiada wyraźnie, że jeść można bez najmniejszej szkody, owszem z namacalnym pożytkiem dla zdrowia, ile kto chce i może, zapomniał jednak dodać: i o ile go stać na to!

Przypatrzmy się n. p. recepcie jego dla sześćdziesięcioletniego mężczyzny, którego my zazwyczaj skazujemy na lekki kleik i rosołek, by sobie nie zepsuł żołądeczka.

Rano, o szóstej, czysta herbatka, potem o ósmej kawa lub herbata, pieczywo, jaja, wędliny, ryby i pieczyste, po pierwszej, by nie zepsuć sobie apetytu na obiadek, lekka przekąska, składająca się z mięsa, ryby, drobiu, sera i leguminy... O czwartej znów czysta herbatka, a o siódmej obiad: zupa, ryby, dziczyzna i bezwarunkowo drób, legumina, lekkie pieczywo i kompoty.

Na tem jeszcze nie koniec!.. Po tak pracowicie spędzonym dniu czeka jeszcze kolacyjka, bardzo już skromna, bo w skład jej wchodzi tylko filiżanka zupki rybnej, bulionu, lub rosołu i lekka przekąska.

Apetyt młodszych (zapewne ze względu na to, iż zwykle późną porą wybierają się na tak zwaną „werdebę") należy zaspakajać obfitszą kolacyą.

Bardzo chętnie zastosowałbym się do wskazówek dra Watsona i spróbowałbym na sobie jego metody, niestety, by prowadzić takie życie, trzeba być, co najmniej, milionerem, a nie biednym dziennikarzem, który tego rodzaju smakołyki zna tylko z opowiadania, lub wystaw sklepowych.

Gdym przeczytał żonie ów artykuł, zawołała z pasyą:

— I owszem! Wykarmię cię tak, że dostanę później złoty medal na wystawie opasowej, ale musisz mi dawać na dom przynajmniej pięć tysięcy koron miesięcznie!

Złapałem się za głowę i łykam odtąd tylko ślinkę, ale ten numer „Kuryerka" schowałem sobie na pamiątkę.

Swoją drogą, odkąd „zludowaciał", przynosi bardzo często cenne artykuły, mogące wpłynąć na zupełną zmianę istniejącego porządku rzeczy.

Taki przewrót powinien wywołać ów eliksir na nieśmiertelność, wynaleziony przez słynnego fizyologa, Carrela.

Według jego teoryi poszczególne organy ciała ludzkiego lub zwierzęcego można przechowywać w różnych roczynach odżywczych, gdzie dalej żyją i rozwijają się. To tylko bieda, że ten eliksir, który zapobiega śmierci jednego organu, nie wywiera wpływu na drugi, trzebaby mieć niezmierną ilość eliksirów, każdy dla innej części ciała.

Podobno tymi dniami demonstrował w Paryżu profesor Pozzi preparat Carrela: wnętrzności kota, utrzymane w roczynie przy trwałem życiu!

Jeśli więc ktoś, odżywiając się metodą dra Watsona, zepsuje sobie n. p. żołądek, powinien po prostu zgłosić się do swego domowego lekarza i kazać sobie wyciąć żołądek, a potem wsadzić go do eliksiru, niech sobie tam moknie, dopóki nie przyjdzie do siebie. W ten sam sposób powinni postąpić chorzy na wątrobę, śledzionę i t. d. Eliksiry są już gotowe, nie wynaleziono jedynie płynu odżywczego dla chorego mózgu, więc dlatego to rodzą się takie „Lawiny", „Ateny" i inne arcydzieła.

Śmierć więc dyabli wezmą, karawaniarze ogłoszą bezrobocie, a my będziemy żyć tak długo przynajmniej, jak bł. pam. Matuzalem.

— Ba, — powie ktoś może — żyłbym chętnie tak długo, ale cóż, kiedy mam nieznośną babę, która mi obrzydza życie, trajkocząc ciągle za uszami!

Ale i na to znajduje „Kuryerek" radę we wynalazku Hirama Maxima, nazwanym *Pożeraczem głosu.* Wedle słów odnośnego artykułu pochłania on wszelki odgłos lub szmer, poczynając od brzęku muchy, kwilenia dziecięcia, aż do huku młotów, grzmotu dział, turkotu pociągu, jadącego przez most żelazny i trajkotania babskiego języka.

Maxim wychodzi z założenia, że nie trzeba usuwać fal głosowych, wystarczy tylko zmienić ich kierunek, tak, by nie reagowały na ucho ludzkie. Sporządził też w tym celu transformator, który fale, zrozumiałe dla naszego ucha, momentalnie przemienia na takie, iżby ono było na nie nieczułe.

Na razie trzyma on budowę owego przyrządu w tajemnicy, gdy ją jednak opublikuje i założy fabrykę transformatorów (a ręczę, że zrobi na tem kolosalny interes, gotów jestem wejść z nim nawet w spółkę...), każdy małżonek, mający gadatliwą żonę, zaopatrzy się bodaj w jeden egzemplarz i będzie go nosił przy sobie. Niech tylko żonka zacznie kazanie, zakłada na uszy transformator i nie słyszy ani słowa!

To jest rzeczywiście epokowy wynalazek, godny zaiste dwudziestego wieku!

Niechaj ktoś nie myśli, że wszystko wyssałem sobie z palca. Jeśli kto ciekawy, znajdzie to samo, choć nieco obszerniej, w krakowskim organie pana Jana od ludowców, w numerach z dnia 15 i 16 marca b. r.

Chciałem na tem ukończyć, niestety wpadł mi w rękę ostatni numer *Gazety poniedziałkowej,* który przynosi w telegramach wiadomość z Frankfurtu, iż niejaki pan Sternickel, obywatel państwa „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów", z powodu potrójnego morderstwa, rabunku i uplanowanego podpalenia, skazany został trzy razy na śmierć, na pięć lat więzienia i utratę praw obywatelskich. Dwukrotna kara śmierci z tymi samymi dodatkami, co u pierwszego, stała się udziałem Jerzego Kerstena i Franciszka Schliewenza.

Zaciekawiło mnie to ogromnie, nie mogę sobie bowiem wyobrazić w jaki sposób załatwi się z tem pruska sprawiedliwość, czy najpierw położy kres ich życiu, a potem dopiero każe im owe pięć lat odsiedzieć, czy też odwrotnie... Najgorsze zaś to pozbawienie praw obywatelskich, gdyż nawet jako nieboszczycy nie będą mogli głosować na kandydata rządowego. Chyba, że przed wyborami nastąpi umorzenie kary.

Ciekawym także, jak sobie kat da radę z potrójną śmiercią u tego samego indywiduum!

A teraz kolej na życzenia, z jakiemi co rok w tym czasie spieszę pomiędzy P. T. Czytelników. Życzę im z serca tego, czego sami sobie życzą, niestety, bez wzajemności! Byłem przekonany, rozpoczynając zawód kronikarski, że przed świętami nie będą się u mnie drzwi zamykać, a P. T. Przyjaciele i Wielbiciele pospieszą z różnymi prezentami (stałymi i płynnymi), niestety, rok po roku spotykam się z zawodem! A jednak nie tracę fantazyi i otuchy, że przecież kiedyś zmieni się na lepsze, boć to nie będzie przekupstwo c. k. kronikarza, więc zbrodnia, za którą pan prokurator mógłby kogoś pociągnąć do odpowiedzialności.

Jeśli ktoś miał tego rodzaju skrupuły, niech je sobie wybije z głowy i niech się, póki czas, poprawi, a zyska sobie wdzięczność moją, która go będzie prześladować do grobowej deski.

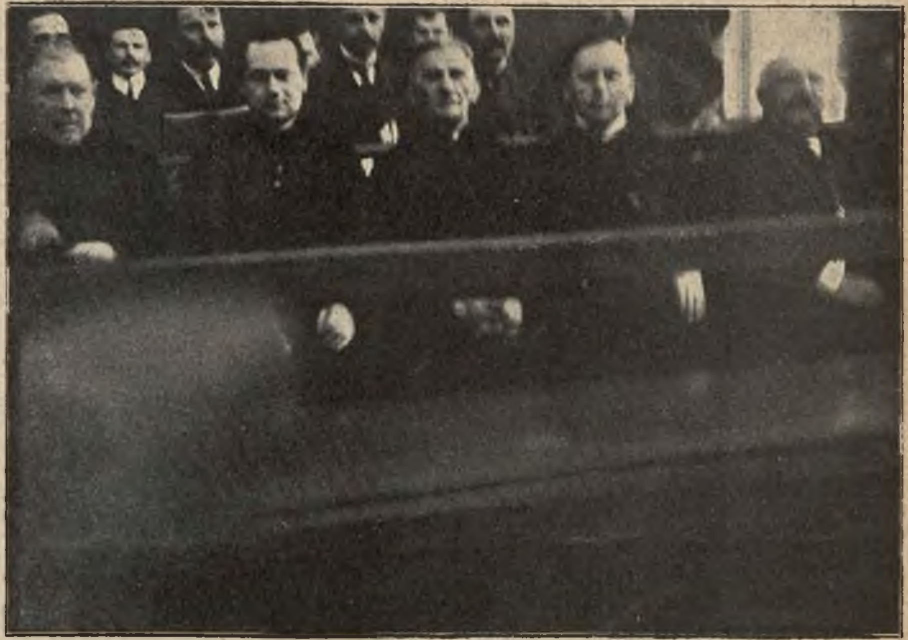
„Wesołego Alleluja!"

Głosy publiczne.

C. k. Dyrekcya kolei państwowych w Krakowie donosi: **Pociąg pospieszny z Zakopanego do Krakowa.** Celem udogodnienia powrotu ze Świąt Wielkanocnych z Zakopanego, kursować będzie **we wtorek dnia 25 marca b. r.** z Zakopanego pociąg pospieszny, ogłoszony w rozkładach jazdy pod numerami 6101, 1201, 1101, 1001, 102. Odjazd z Zakopanego o godz. 4-tej popołudniu, przyjazd do Krakowa o godz. 8·23 wieczór.



O kościół w Błoniu: Ława obrońców, adwokaci Rundo, Makowski i Nowodworski.



O kościół w Błoniu: Ława oskarżonych księży.

O kościół w Błoniu.

Przed sądem warszawskim toczy się od kilku dni ciekawy proces, w którym na ławie oskarżonych zasiadło aż trzydzieści osiem osób. Sprawa dotyczy znanych przed kilku laty krwawych zajść, jakie miały miejsce pod Warszawą w Błoniu, gdzie Maryawici zabrali kościół katolicki, który następnie katolicy im odebrali.

Przewodniczy rozprawie wiceprezes sądu Dumitraszko, a komplet wyrokujący stanowią sędziowie Lwowicz i Bulmeryng.

Obowiązki oskarżyciela pełni podprokurator Sołowiew, pióro trzyma sekretarz Chwalibóg.

Ławy obrończe zajmują: adw. prz. Franciszek Nowodworski, obrońca ks. kanonika Władysława Sędziakowskiego, adwokat przys. Kijeński, pomocnik adw. przys. Kozłowski, obrońcy ks. Józefa Szepietowskiego, adw. przys. Papieski — obrońca księży Konstantego Kostrzewskiego i Antoniego Zielińskiego, dalej obrońcy innych oskarżonych: adw. przys. Makowski, adw. przys. Zaczyński, adw. przys. Rundo, Smiarowski, Szumański; wreszcie obrońcy dwóch oskarżonych Maryawitów: Gołębiowskiego i Szymaniaka.

Przy stole powoda cywilnego zasiada adw. przys. Koszutski, występujący w imieniu 7 Maryawitów z powództwem cywilnem o odszkodowanie na sumy od 30 do 1.000 rb.

Listę obrońców zamykają adw. przys. Szyszkowski i adw. przys. Miszewski, występujący w imieniu dwóch Maryawitów.

Oprócz tego zgłosił się jako specyalny obrońca Maryawitów duchowny maryawicki Tułaba. Sąd mimo sprzeciwu adwokatów dopuścił go do rozprawy.

Rozprawa spowodowana została przez szereg skarg, wniesionych ze strony maryawitów, a odbywa się dopiero teraz, mimo iż zajścia miały miejsce w r. 1906, gdyż dopiero w trzy lata po zajściach maryawiccy duchowni nakłonili swych wyznawców do rozpoczęcia kroków sądowych.

Akt oskarżenia, jaki na początku rozprawy odczytano, obszernie opowiada o przebiegu zajść. Rozegrały się one w r. 1906 w Wielkim tygodniu i trwały kilka dni. Początek zatargu dało usunięcie przemocą przez Maryawitów proboszcza Błoń ks. Rogowskiego, któremu wprost rzeczy z plebanii wyrzucono na drogę. Maryawici zawładnęli kościołem w Błoniu z rąk Maryawitów. W Wielką środę wyruszyły z sąsiednich wsi procesye katolickie do Błoń, które zgromadziły około 4000 ludzi. Procesye te, przybywszy pod kościół, domagały się otwarcia go



Kobiety i Sejm: Wiec kobiet we Lwowie w sprawie sejmowej reformy wyborczej.

a następnie osiedlił się tam maryawicki duchowny Zmudzki.

Rozgoryczenie katolików z powodu tego postąpienia było wielkie i spowodowało kilka starć między nimi a Maryawitami, które kończyły się bójkami. Wreszcie postanowili katolicy odebrać kościół dla katolików i oddania z powrotem. Maryawici, uprzedzeni o tem, że katolicy chcą kościół odebrać, przygotowali gwałtowną obronę. Przyszło do krwawego starcia, w którem z obu stron strzelano, tak iż kilkanaście osób zostało pobitych i poranionych.

Wskutek skargi Maryawitów na ławie oskarżo-



O kościół w Błoniu: Grupa włościan katolików przed gmachem Sądu okręgowego.



O kościół w Błoniu: Ława oskarżonych.

nych zasiadło czterech księży katolickich i kilkanaście osób cywilnych, oskarżonych o udział w tych zaburzeniach. Podczas rozprawy przesłuchano bardzo wielu świadków. Charakterystycznemi były zeznania świadków Maryawitów, które często były ze sobą w sprzeczności. Wiele humoru wywołało zeznanie jednego ze świadków, który wprost twierdził, że został zabity i bardzo dowcipnie opowiadał, jakie uczucia i wrażenia przechodził po tem „zabiciu".

W chwili, kiedy nasz numer oddaliśmy do druku, proces trwa w całej pełni. Nie skończono jeszcze przesłuchiwać świadków, których jest bardzo dużo, a ze strony obrony zgłaszani są wciąż nowi.

Proces w Warszawie wywołał łatwo zrozumiałą sensacyę, gdyż sprawa maryawicka jest w Królestwie Polskiem bardzo aktualną.

Illustracye nasze przedstawiają najważniejsze osoby procesu, oraz szereg świadków, publiczność, całą ławę oskarżonych i inne ciekawe sceny z przebiegu procesu.



Zamordowanie króla greckiego: Zamordowany w Salonikach król grecki Jerzy I. z małżonką.

Zamordowanie króla greckiego.

Z objętego pożogą wojenną Bałkanu przyszła nowa, wstrząsająca wiadomość o krwawym zamachu na króla greckiego Jerzego. W Salonikach, na tem spornem pomiędzy Grecyą a Bułgaryą terytoryum, gdzie niejednokrotnie przychodziło do starć pomiędzy wojskami greckiemi a bułgarskiemi — król Jerzy zamieszkał, jakby chcąc zadokumentować swe prawa do tego zdobytego miasta... Tam też morderca strzelił do używającego pieszej przechadzki króla, który, raniony w serce, zmarł w drodze do szpitala. W kołach politycznych powstało zaraz przypuszczenie, że zamach ten stoi w związku z walką, jaką toczą Grecy i Bułgarzy o władzę w Salonikach. Jak donoszą jednak telegramy, sprawcą zamachu nie jest Bułgar, lecz Grek, niejaki Aleksander Szinas, zdradzający podobno stan anormalny...

Jakie rzeczywiście sprężyny popchnęły mordercę do królobójstwa, jest to na razie tajemnicą, którą nie tak łatwo da się rozwikłać.

Kobiety i Sejm.

Sprawa sejmowej reformy wyborczej, która okazała się w Galicyi najtrudniejszym orzechem do zgryzienia, zmobilizowała także i kobiety lwowskie... W trakcie gorączkowych układów i rokowań, prowadzonych pomiędzy stronnictwami, w przeddzień otwarcia Sejmu Związek równouprawnienia kobiet zwołał w sprawie sejmowej reformy wyborczej wiec, który obradował w sali ratuszowej.

Do prezydyum wiecu wybrane zostały pp. Hoserowa, Bersonowa i Tomicka, a referat wygłosiła p. Dulębianka, która przedstawiła wyborcze postulaty kobiet.

Wiec przyjął jednomyślnie przedstawioną przez p. Dulębiankę rezolucyę, domagającą się „czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego dla wszystkich obywateli i obywatelek"...

Z sali koncertowej.

W szeregu licznych „gwiazd" zagranicznych, które w minionym sezonie koncertowym miał możność Kraków podziwiać w sali Starego Teatru, wystąpił niedawno Krakowianin, p. Hoff-Cortilli, który zdobył już zagranicą ostrogi artysty operowego.

Na koncercie p. Hoff-Coritilli dał się poznać jako talent śpiewacki pierwszorzędny, ujawniony w szeregu prześlicznie odśpiewanych aryi i pieśni.

Pan Hoff-Coritilli śpiewa już od dwóch lat na scenach zagranicznych, a rozpoczął karyerę świetnym debiutem na scenach włoskich, a obecnie wstąpił do opery w Norymberdze, której jest prawdziwą ozdobą.



Z sali koncertowej: P. Hoff-Cortilli.

Obdarzony prześlicznym bujnym głosem o dźwięku sympatycznym i pełnym wyrazu, jak również wyjątkowemi zdolnościami aktorskiemi, młody śpiewak odbywał poważne studya muzyczne w Wiedniu u profesorów Robinsona i Franka, następnie w Medyolanie u Broggi'ego i Castelana, poczem dopełnił swego wykształcenia artystycznego w słynnej paryskiej uczelni Reszkego. Dziś w pełni rozwoju swego talentu ma przed sobą p. Hoff-Cortilli świetną karyerę artystyczną.

Nowy profesor Wszechnicy Jagiellońskiej.

(Do illustracyi na str. 4).

Wszechnica Jagiellońska pozyskała nową wybitną siłę w osobie prof. Maryana Smoluchowskiego, który objął katedrę fizyki doświadczalnej, jako następca ś. p. prof. Witkowskiego.

Nowy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego urodził się w r. 1872 w Wiedniu, gdzie ojciec jego



O kościół w Błoniu: Grupa maryawitów przed gmachem Sądu okręgowego. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



O kościół w Błoniu: Duchowny maryawicki Kiryl Żmudzki vel Żebrowski na rozprawie sądowej. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

był wysokim urzędnikiem. Po ukończeniu uniwersytetu wiedeńskiego, przepędził lat kilka na dalszych studyach zagranicą, w Paryżu, w Berlinie i Glasgowie, zdobywając swemi pracami rozgłośne imię w nauce europejskiej.

Po powrocie do kraju prof. Smoluchowski objął w r. 1903 katedrę fizyki teoretycznej we Lwowie, a od r. 1908 jest członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie.

Swiat naukowy lwowski z żalem żegnał znakomitego uczonego i profesora, który w prastarej Wszechnicy Jagiellońskiej znajdzie niewątpliwie szersze pole dla swej pracy naukowej, jako godny następca ś. p. nieodżałowanego prof. Witkowskiego.

Pożar w Konstantynopolu.

(Do illustracyi na str. 9).

Jednem z największych niebezpieczeństw, jakie zagraża stolicy państwa tureckiego, bywają zwykle pożary, które stosunkowo często nawiedzają Konstantynopol. Niszczą one nieraz całe dzielnice, gdyż brak dobrze wyszkolonej straży ogniowej, brak nieraz odpowiednich przyborów do gaszenia utrudnia ogromnie akcyę. Oprócz tego same budynki są stawiane w ten sposób, że są podatnym bardzo materyałem palnym. O ile dzielnice bogatsze miasta są budowane z kamienia lub cegły i są przeciw pożarom więcej odporne, o tyle dzielnice, zamieszkałe przez ludność ubogą, nie tylko, że mają domy przeważnie drewniane, ale jeszcze w dodatku i ulice tak wąskie, że często o ratunku płonącego budynku z powodu trudności dostępu doń mowy być nie może. Domy tureckie budowane są ponadto w ten sposób, że na ulicę bardzo mało okien wychodzi. Zycie koncentruje się wewnątrz domu, a ze względu na haremy kobiece wstęp do nich jest bardzo utrudniony.

W ostatnich czasach niebezpieczeństwo wywoływane pożarami w mieście jeszcze bardziej wzrosło wobec tego, że całe miasto przepełnione jest wprost zbiegami z pola walki.

Przed kilkunastu dniami wybuchł w Konstantynopolu duży pożar. Zagrażał on zarówno dzielnicy europejskiej, jak i sławnemu meczetowi św. Zofii. Ambasadorowie mocarstw zarekwirowali zaraz pogotowia pożarowe okrętów wojennych i tylko dzięki ich pomocy ogień stłumiono i nie dopuszczono, aby ogarnął miasto. Mimo energicznego ratunku spłonęło kilka ulic.

Illustracya nasza przedstawia akcyę tureckiej straży ogniowej podczas ostatniego pożaru.



Potworne morde stwo: Edward Byliszek.

Potworne morderstwo.

Potwornego, a tajemniczego mordu dokonano niedawno w Warszawie. Ofiarą jej padł służący inżyniera Adamieckiego, Santerek, którego w godzinach popołudniowych znaleziono w mieszkaniu pracodawcy (przy ul. Wiejskiej Nr. 9.) pławiącego się we krwi, z pękniętą czaszką i z raną w szyi, zadaną nożem. Santerek nazajutrz zmarł, a śledztwo ustaliło, że mordu tego dokonał karany już sądownie złodziej Edward Byliszek, który swą ofiarę ogłuszył uderzeniem młotka, a potem zadał jej śmiertelny cios nożem. Po kilko-dniowych poszukiwaniach zbrodniarza ujęto na prowincyi i osadzono w więzieniu.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10.

Bilety wizytowe: Profesor. Pisarz. Sekretarz.

Logogryf:

C
A **z** a
K r **a** t a
P a n **t** e r a
C z a t a l d ż a
R o ś **l** i n a
W o **d** a n
I **z** a
a

Przysłowiówka: Jaka bajka, taka prawda. Kazał pan, musiał sam.

Zadanie do przestawienia: Kto A powiedział, ten musi i B powiedzieć.

Trójkąt magiczny:

K o n s t a n t y n o p o l
O k o ł o w i c z ó w n a
N o r m a n d c z y c y
S u f r a ż y s t k i
T a r n o b r z e g
A k a d e m i c y
N e n u f a r y
T e r c y a n
Y v e t t e
N o r m a
O s e t
P o l
O n
L

Łamigłówka literacka:

Antygona.
Niedociągnięte struny.
Trachinki.
Odrodzenie.
Nieznana wyspa.
Intryga i miłość.
Lysistrata.
Ajaks.
Na gałęzi.
Gołębie.
Elektra.

Przysłowiówka: Niema miodu bez zachodu.

Szarada: Naftalina.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Osuchowski Warszawa, J. Lipski Kraków, D Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blätterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, J. Kwaśniewski Przemyśl, W. Świrski Piotrków, K. Ostrowski Sandomierz, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, H. Bukowska Winnica, J. Maciejowski Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, M. Obst Lwów, J. Pick Warszawa, S. Chełmicki Wilno, R. Zenowicz Petersburg, J. Kalinowska Mińsk, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, D. Engelberg Rzeszów, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J Lewiński Piotrków, R. Michalski Lwów S. Krzyżanowski Podgórze K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, R. Gawiński Kraków, Z Serwański Jasło, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, S. Karczmarski Poddębie, M Ciechocka Brzeżany, H. Mazurkiewicz Lwów, W. Kownacki Poznań, H. Zegartowska Bogucice, H. Radomska Kraków, J. Halski Janów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, B. Sługocki Lwów, M. Raszka Cieszyn, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A Dużak Kraków, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa. I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, W. Potocka Tarnów, K. Armatys Kołomyja, J. Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, H Piątek Podwołoczyska, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R Obraczay Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów, S Metyński Zakopane, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, J. Charzewski Kraków, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Sokołowska Kraków, T. Kępiński Łomża, G. Górski Petersburg, M. Kunz Czerniowce, K. Reichenberg Cieszyn, M. Rawska Głogów, J. Kruszelnicki Lwów, D. Zawadzki Jasło, D. Gross Sanok, J. Pawłowski Zamość, Cz. Kozłowski Warszawa, E Bogdalska Koropuż, R. Papier Stanisławów, A. Krzyżanowski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Armatys Kołomyja.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

„Lotnika i Atomobilisty" ukazał się Nr. 3. za marzec i odznacza się doborem artykułów mogących żywo zainteresować czytelników nie tylko ze sfery fachowej. Na czele numeru zdaje redaktor pisma Z. Dekler relacyę z podróży swojej zagranicą, opisując szerzej przeloty przez Simplon, Pireneje, pogrzeb Nieuporta i t. p, poczem następują zajmujące artykuły, jak: „Czem jest samochód dla Anglika, a czem jest dla nas", „Drzewo, czy stal w konstrukcyach aparatów lotniczych", „Wojna bałkańska i samochody ciężarowe" oraz cały szereg drobnych prac na tematy bardzo żywotne W dodatku „Wszechsport", zastanawia się redakcya nad dziwnem zaniedbaniem sportów i ćwiczeń cielesnych u nas. oraz daje rady jak pobudzić ogół ospały, zamyka zaś ten numer znakomicie ułożona i nader obfita kronika, z drobiazgową skurpulatnością dająca obraz tego, co się robi w dziedzinach sportowych na obu półkulach.

Ze świata kobiecego.

Nowe zdobycze mody.

Kiedy moje Czytelniczki spieszą do magazynów mód, aby czynić zakupy sezonowe, nie zdają sobie nieraz nawet spraw z tego, ile trudów i kosztów trzeba ponieść, aby przygotować materyal nowego sezonu. Tworzenie t. zw. modeli sezonowych, którymi nieraz się zachwycamy, ich zdobywanie przez poszczególne firmy i wprowadzanie na rynki zbytu, jest rzeczą wymagającą wiele pieniędzy i zachodu. Pewne pojęcie można mieć o tem, gdy się zbada, w jaki sposób przygotowuje się nowy sezon w Paryżu. W dziedzinie kapeluszy damskich istnieje w Paryżu sześć magazynów, które specyalnie zajmują się przygotowaniem modeli sezonowych. Przygotowanie to odbywa się w następujący sposób. Najpierw stale zatrudnione rysowniczki i malarki udają się do salonów sztuki w Luwrze, Wersalu lub Bibliotece Narodowej. Tam stosownie do wymagań mody, która zaznacza, jakie wzory historyczne mogą być zastosowane w sezonie, przygotowują rysunki kapeluszy, uwzględniając przy tem nie tylko fason i przybranie kapelusza, ale także upięcie włosów, które bardzo wiele znaczy przy komponowaniu modelu. Te pierwsze twórczynie mody sezonowej pobierają za swą pracę po 800 do 1000 franków miesięcznie.



Kostyum angielski z spódniczką, tworzącą zgrabne *panier*.

Według dostarczonych rysunków wykonują następnie magazyny pierwsze modele. Te nowe pomysły mody produkuje się najpierw na wyścigach, w teatrach i t. p. przez specyalne żywe modele. Kiedy zaś opinia publiczna przyjmie je dobrze, rozpoczyna się właściwy ich przetarg. Do Paryża zjeżdżają przedstawiciele firm z innych krajów, nawet z Ameryki i według oryginalnych modeli robią dla swoich magazynów obstalunki.

Nie jest jednak łatwą rzeczą dostać się do magazynów, aby oglądać oryginalne modele. Ponieważ bardzo wiele firm zgłasza się do francuskich magazynów celem zakupna kapeluszy z pierwszej ręki, magazyny te, według powagi handlowej poszczególnych firm, wyznaczają im formalne audyencye. Tak n. p. Amerykanie mogą oglądać modele o 14 dni wcześniej niż kupcy berlińscy. Ci zaś mogą znowu widzieć fasony o osiem dni wcześniej niż kupcy prowincyonalni.



Kapelusz wiosenny, dla młodej panienki

Oryginalne modele francuskich magazynów płaci się po 1500 do 2000 franków za sztukę.

Według tych wzorów dopiero rozpoczyna się kampania sezonowa, która, przyjąwszy za podstawę wzory francuskie, dowolnie je przerabia i upiększa.

Nowe zdobycze mody w tym sezonie zaznaczają się obok nowych fasonów sukien, o których pisałam w poprzednich artykułach przedewszystkiem w dziedzinie bucików i pończoszek. Moda wymaga, aby suknie zostały jeszcze bardziej skrócone niż w poprzednim sezonie. Nic też dziwnego, że panie muszą wobec tego kłaść wielki nacisk na wygląd bucików, które są całe widoczne z pod sukni. Dawniej kobiety nie zajmowały się tak bardzo kwestyą obuwia, gdyż z pod długich sukien nie było go prawie zupełnie widać. Dzisiaj jest inaczej. Obecna moda wprowadza w tej dziedzinie szereg oryginalnych pomysłów. Wspomnę o dwóch najważniejszych.



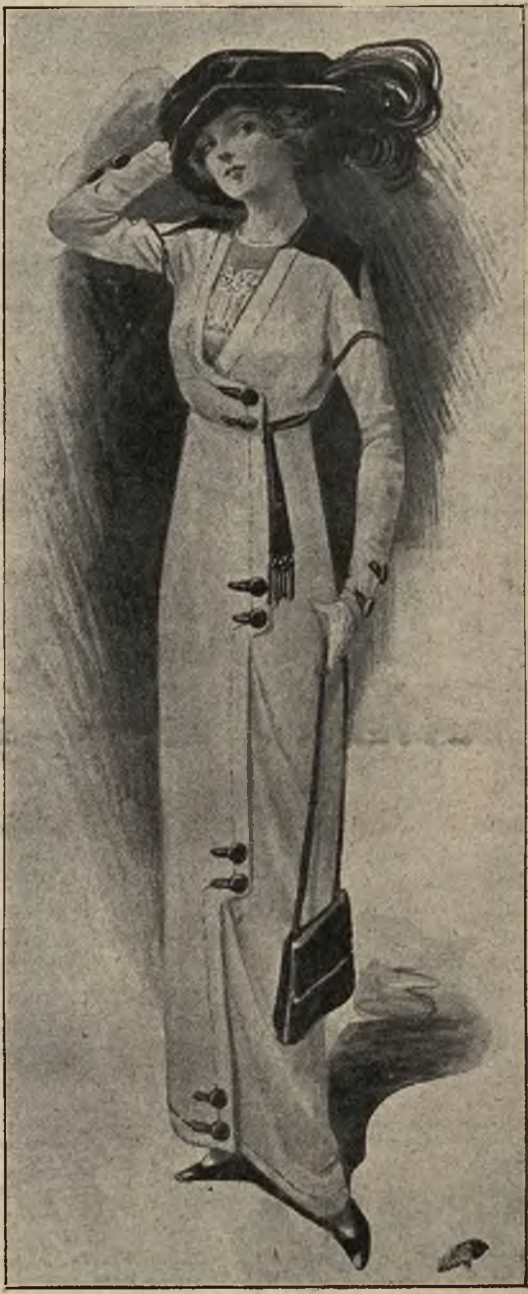
Kapelusz wiosenny, przybrany białą pleurezą.

Pierwszym jest zastosowanie do bucików i pantofelków obcasów z porcelany, w kolorach bucików. Obcasy takie są dosyć lekkie i jak twierdzą fachowcy, trwałe, a mają tę zaletę, że się nie wykrzywiają i wyglądają zawsze elegancko. Tak n. p. widziałam pantofelki z żółtego jedwabiu z porcelanowymi obcasami. Z przodu przybrane były wstążką, która do bucika była przymocowana i zakończona haczykami do zapinania, ozdobnie w kwiaty wyrobionymi.

Na jeszcze ciekawszy pomysł wpadł jeden z szewców paryskich. Ponieważ panie skarżyły się, że gładkie dziurki przy sznurowanych pantofelkach nie wyglądają dosyć elegancko, zaczął wyrabiać pantofelki, z których dziurki przybrane są wokoło małymi sztucznymi brylancikami.

W numerze dzisiejszym podaję dalsze illustracye wiosennych kreacyi mody. Efektowne są zwłaszcza dwa oryginalne angielskie wzory sukien wiosennych. Jedna z nich zrobiona jest z zachowaniem częściowego *panier*, jednak bardzo zmodernizowanego i w ten sposób skonstruowanego, że stanowi niejako przedłużenie przodu bluzki. Druga illustracya przedstawia gładki kostyum angielski przybrany szerokim aksamitnym kołnierzem i dużymi guzikami.

W.



Kostyum wiosenny, przybrany aksamitem i dużymi guzikami.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

7

Przeszli do jadalni. Aniela, pełna dumy z tytułu swej roli gosposi, usadowiła gości. Carboniera głos zabrał:

— Łaskawa pani, a i ty, Monte-Leon, zechciejcie mnie wysłuchać. Mam wam coś ciekawego do oznajmienia.

— Cóż takiego?

— Zamierzam ulotnić się w krainę pierwszych ślubów, zawijam się w spódnicę, czyli innemi słowy, żenię się.

— Z kim? — zapytał Monte-Leon zdziwiony.

— Zaślubiam tę oto piękną Rózię, tu obecną.

Rybaczka zarumieniła się i zaczęła się śmiać, dla ukrycia swego pomieszania. Carboniera ciągnął dalej:

— Spytacie może, jak się to stało? Odpowiem w dwóch słowach: kazałem jej, śmiejąc się, przyrzec sobie, że wyjdzie za mnie; a dziś, gdy pomysł dojrzał, domagam się spełnienia obietnicy zupełnie seryo.

— Brawo! — rzekła Aniela z zachwytem.

— Winszuję — rzekł z kolei Monte-Leon. — Szybko załatwiasz swoje interesy.

Carboniera powstał i przedstawił swoją narzeczoną:

— Czy sądzicie — rzekł — iż to piękne dziewczę, bardziej świeże aniżeli mewy nad tonią, nie jest towarzyszką, przeznaczoną przez samą naturę dla waszego sługi? Jestem wielki, ona silna. Jestem przeprowadzaczem, a ona rybaczką. O mezaliansie mowy nie ma.

I młodzi ludzie śmiać się zaczęli.

— Moi drodzy — mówił Carboniera — my dwoje popękamy z radości i pustoty. Teraz, mówiłem do mojej drogiej Rózi, że nie mam nic z tego, a i ona również, z tego, co potrzeba do skojarzenia małżeństwa na modłę francuską — ani błogosławieństwa rodziców, ani żadnych dokumentów etc. Wiecie, co mi odpowiedziała?

— Nie — odparli młodzi ludzie bardzo zaciekawieni.

— Powiedziała mi, że wzdłuż brzegów Francyi młodzi ludzie omijają te wszystkie formalności za przebyciem morza. U naszych sąsiadów Anglików ludzie żenią się na dobrą wiarę. Żadnych utrudnień. Idzie się do Registrar-Office i oświadcza się o chęci ożenku. Przyjeżdża się w dwa tygodnie potem i — rzecz skończona.

— I te małżeństwa są ważne we Francyi? — zapytała Aniela.

— Niezawodnie, proszę pani. Drugi raz nie można się już ożenić, gdzież tam! — rzekła Rózia.

— Mogłoby to wywołać niejakie trudności tylko przy interesach pieniężnych — wyjaśnił Carboniera.

Aniela i Monte-Leon nie stracili ani jednej sylaby z tych cennych szczegółów. I oni również nie mogli byli wypełnić wszelkich formalności tak skomplikowanych, a dotyczących małżeństwa we Francyi.

— Nie zechcecie też państwo towarzyszyć nam dziś do Anglii? — zaproponował Carboniera.

— Do Anglii?

— Tak, jedziemy pakietbotem, odchodzącym z Bolonii do Folkestone. Jest południe, o drugiej będziemy w Anglii. Wybieramy sobie hotelik czy pokoje umeblowane i po zapłaceniu drobnej gratyfikacyi oraz komornego za miesiąc z góry, stajemy się posiadaczami stałego mieszkania, a nadto otrzymujemy świadectwo zamieszkiwania na miejscu od kilku miesięcy.

— To się tak robi?

— Zapytajcie się Rózi! Następnie z byle jakim świadkiem, ot bodaj z właścicielem hotelu, udajemy się do biura zaślubin. Zapisują nasze nazwiska i powiadają: Wróćcie za tyle i tyle dni!

— Ależ to rozczulająco proste.

— Siadamy tedy z powrotem do pakietbotu i jesteśmy w domu na szóstą wieczór. I cóż, zgadzacie się państwo?

Aniela i Monte-Leon szczerze przyklasnęli temu projektowi i w kilka chwil potem udano się do portu. Pakietbot miał właśnie odbijać od brzegu. Ledwie że zdążyli kupić bilety i przebiedz mostek, łączący statek z lądem. Steam boat ruszył.

Pewien mężczyzna spoglądał na okręt, oddalający się szybko. Był to Sigrist.

— Bardzo dobrze! — zawołał — małżeństwo po angielsku! Zemszczę się!

ROZDZIAŁ VIII.

Wszyscy pobrani.

Wieczorem, punkt o szóstej obie pary wracały z Anglii. Ich uśmiechnięte twarze świadczyły wyraźnie, że wszystko odbyło się szczęśliwie. Jednakże doświadczony obserwator byłby zauważył pewien smutek u Monte-Leona i Anieli.

Carboniera i Rózia przypatrywali im się złośliwie. Oboje mówili po angielsku. Mogli przeto rozmawiać, nie będąc rozumianymi przez Monte-Leona, który nie miał wyobrażenia o tej mowie, równie jak i Aniela, jakkolwiek ona była rodem z Boulogne, gdzie wszyscy władają obydwoma językami. Ale Aniela żyła w takiem odosobnieniu, że nie miała okazyi rozmiawiania z nikim więcej, jak tylko z krewnymi i zawsze tylko po francusku.

Monte-Leon niecierpliwił się.

— Czy wy tam prędko skończycie paplać po zakanalsku? -- ozwał się do zakochanych. — To nie wypada w towarzystwie.

— Dobrze więc, chociaż to bardzo wygodne — odparł Carboniera.

— A teraz mów — ciągnął artysta — dla czego kazałeś nam się podpisać w Registrar-Office?

— Przecież to reguła.

— Mówiłeś, że potrzeba tylko jednego świadka.

— Omyliłem się, bo w rzeczywistości potrzeba było tylko pół jednego.

Rózia wybuchnęła szalonym śmiechem.

Monte-Leon irytował się, bo nie zrozumiał.

— Pół świadka, ten gruby Anglik, który był przy zapisie?

— Naturalnie.

— Wytłomacz-że się.

— Czyż nie podzieliliśmy się tym poczciwcem?

— W jaki sposób?

— Przecież on świadczył także i dla was.

— Dla nas?

— No tak.

— Niby dla kogo, dla nas?

— Dla panny Anieli i dla ciebie.

— Przecież myśmy go nie potrzebowali! — rzekła Aniela, zdjęta raptownem podejrzeniem.

Carboniera zrobił oczy zdziwione.

— No chyba nie powiecie, ażeby was kto przymuszał do podpisu.

— Do podpisu? Myśmy tylko stwierdzili wasz związek. Nic więcej.

— To znaczy, żeście występowali tylko na własny rachunek, podczas gdy zacny Anglik podpisał się w imieniu dwóch małżeństw.

— Dwóch małżeństw? — powtórzyła Aniela.

— Jakto! więc i my mamy być zaślubieni? — zapytał Monte-Leon.

— Jeszcze nie, ale jesteście na dobrej drodze.

— To dlatego musieliśmy podawać najrozmaitsze szczegóły?

— Dla niczego innego.

— Ależ to nie do darowania, panie Carboniera.

— Jestem pewien, że nie darowalibyście, gdybym wam był nie spłatał tego figla.

— Więc mamy ci może podziękować?

— Tak przypuszczam!

Monte-Leon podał rękę Anieli.

— I cóż pan powiesz o tej nowej fantazyi swego przyjaciela? — spytała.

— Powiem, że jestem najszczęśliwszym z ludzi na świecie, jeżeli tylko pani nie ma nic przeciwko temu.

— Czyż można się gniewać na niego? — rzekła młoda dziewczyna, spoglądając z boku na jowialną fizyognomię Carboniery.

Ten spostrzegł to wejrzenie.

— To dziwne, nieprawdaż — rzekł — jak to wszystko prędko idzie?

— O tak, zwłaszcza, gdy się pan w to wmiesza...

— Tak pani znajduje?

W tej chwili Aniela ścisnęła mocno rękę swego narzeczonego.

— Wuj idzie! — rzekła z przestrachem, który nie uszedł uwagi młodego człowieka.

Pan Vernier ukazał się na drugim końcu ulicy.

— Czego się pani boi? — zapytał Monte-Leon.

— Nie wiem, ale omińmy go prędko.

Pan Vernier spostrzegł ich, a widząc, że przyspieszają kroku, podążył za nimi. Nie lękał się wcale Monte-Leona, którego znał, jako młodzieńca dość nieśmiałego, a zresztą wyszedł on co tylko z więzienia, tej grozy dla mieszkańców prowincyi. Chciał sobie użyć skandalu na środku ulicy.

— Ach, mam cię nareszcie, zła dziewczyno! — rzekł do siostrzenicy.

Fabrykant w ferworze nie spostrzegł Carboniery, który wypuścił właśnie Rózię z pod ręki. Krzyczał okropnie.

— Ruszaj za mną, smarkata jedna, i pójdź błagać o przebaczenie.

Monte-Leon wstawił się za Anielą.

— Panie — rzekł — zabraniam panu odzywać się dalej, rozumiesz pan?

Pan Vernier szydził:

— Patrzcie, ten przybłęda, ten łotr, wypuszczony dziś rano z więzienia.

Kilku przechodniów zaczęło stawać.

Nagle pan Vernier wydał okrzyk przeraźliwy, zgłuszony, a zarazem bolesny aż do płaczu.

— Aaach! w sam odcisk! Cóż to za bałwan?

— To twój przeprowadzacz, niewdzięczniku! — rzekł Carboniera, który nadszedłszy, zmiażdżył nogę biednego obywatela obcasem.

Pan Vernier odskoczył, jakgdyby mu się sam dyabeł ukazał. Ale chciał bądź co bądź wywrzeć swoją wściekłość na Anieli. Okazya była nielada. Już spory tłum otaczał ich dokoła.

— Uciekajcie! — rzekł Carboniera do swej narzeczonej i do Anieli.

A zbliżając się do pana Verniera, dodał:

— Zechciej pan odejść i nie napastować nas!

— Zrobię to, co mi się spodoba.

— Ach! Chcesz więc, ażebym cię przeprowadził mój grubasku?

— Drągal obrzydły! — huknął fabrykant.

Carboniera zwrócił się do obecnych.

— Słyszeliście państwo, nazwał mnie obrzydłym drągalem! Czy myślicie, że mam urazę do niego? Bynajmniej. To biedaczyna, więc go przycisnę sobie do serca.

I podczas gdy Monte-Leon uprowadzał Anielę, Carboniera chwycił w pół swoją ofiarę i równocześnie pod kolana.

Pan Vernier opadł w ramiona Herkulesa i znalazł się w pozycyi dziecka, ssącego pierś mamki.

Carboniera zaczął spacerować, kołysząc olbrzymiego malca i pośpiewywał słodko:

Śpij dziecinko już,
Słodkie oczka zmruż..

Wywołało to wybuchy śmiechu ze strony widzów tej nieprawdopodobnej sceny. Nieszczęsny bolończyk oddychał z całych sił.

— Puść mnie — zrzędził — bo cię ukąszę, bandyto!

Carboniera odparł łagodnie:

— Ach nie! Nie rób tego...

Nie rób tego. synku, już,
I twe cudne oczka zmruż...

Pan Vernier szamotał się okrutnie w objęciach atlety, który zaczynał słabnąć. Przy każdem szarpnięciu, jakie robił, jego tylne wypukłości, wspaniale po burżujsku zaokrąglone, uwydatniały się w całej pełni.

Rózia, będąca świadkiem tego widowiska, nie mogła dłużej wytrzymać.

— Ręka mnie swędzi! — rzekła.

I wybrawszy chwilę, w której wypięcie doszło do najwybitniejszego punktu, przypadła znienacka, podniosła rękę... I fabrykant otrzymał mistrzowskiego klapsa, pełnego jędrności i gorączki, a który rozległ się w koło, jak klaśnięcie bata.

Aj! — krzyknął nieszczęśliwy, odwróciwszy się od łona Carboniery dla zobaczenia, kto go tak uczęstował.

— Poczułeś? — zapytała Rózia, machając dłonią nabrzękłą.

Pan Vernier byłby może odpowiedział i byłby wydał swoją opinię o klapsie, ale Carboniera ułożył go na ziemi i, przyskoczywszy do rybaczki, ucałował ją wobec wszystkich.

— Panie i panowie — rzekł — to cudne dziecko będzie moją żoną za dwa tygodnie. Mam szczęście, nieprawdaż?

— O tak, rzeczywiście — ozwał się pewien marynarz — ale wypadnie trzymać się ostro, bo inaczej...

Naśladował klapsa, otrzymanego przez pana Verniera.

Carboniera podał rękę swej tęgiej dziewczynie i młoda para odeszła wśród śmiechu.

Żartobliwy marynarz uważał za słuszne dać ostatnią radę studentowi.

— Trzymaj pan cnotę w karbach — zawołał — bo źle będzie!

— Uspokój się rybko! — odparł Carboniera w odwet — sprawimy jej kaptur!

I znikł wraz z towarzyszką, która z dumą zwieszała mu się u ramienia.

ROZDZIAŁ IX.

Groźba.

W kilka dni po tych pamiętnych zdarzeniach, Monte-Leon spotkał Carbonierę w porcie.

— Powiem ci nowinę — rzekł.

— Jaką?

— Wiesz, twój przyjaciel, pan Vernier....

— Co, może potrzebuje wiernego przeprowadzacza?

— Ale gdzież tam, sam się wyprowadził.

— Cóż znowu, to niedobrze!

— Umarł.

— Umarł?

— Najformalniej.

— No to mu wszystko przebaczam.

— To ładnie z twojej strony. Ale możesz się pochwalić, żeś mu skrócił dni żywota.

— Ja! zaprotestował Carboniera. — Umywam ręce od tego oskarżenia. To Rózia go zabiła.

— Rózia?

— No tak, mistrzowskim klapsem po wypukłościach.

— Tak myślisz?

— Jestem pewny. Nie ma nic gorszego, jak uderzenie w tył, bo wtedy krew wali do głowy.

— To możliwe. Bądź co bądź, umarł na atak apoplektyczny.

— No widzisz.

— Biedak!

— Zapewne, przybierzmy pozory zmartwienia. Umarłym należą się względy; są to zacni ludzie.

— Tak, ale nadewszystko mówmy poważnie.

— O ile to możliwe.

— Spróbuj.

— Nie, bo widzisz, szkoda że umarł, ale nikt nie zaprzeczy mi chyba, że był to spekulant obrzydliwego rodzaju i gałgan pierwszej wody.

— A to ładna mówka pogrzebowa!

— Sam Bossuet nie palnąłby lepszej, co?

— Patrz, Sigrist. Czego znowu chce od nas ten ptak złowróżbny?

Carboniera odwrócił się i spostrzegł wymienionego. Szedł prosto ku nim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada dla Jóż i Józiów.

Ułożył Staker z Krakowa.

Pierwsze-drugie chwilę,
Niech się *pierwsze-czwarte*
Czoło, no.. bo tyle
Takie słowo warte!
A *trzecie* w pamięci
Całości życzenia,
Które dzisiaj ślę Ci
W dniu Twego imienia!

Łamigłówka.

Ułożył Jaś z Morgensternówki.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą życzenia, które Redakcya przesyła z okazyi Świąt wszystkim P. T. Czytelnikom.

E — a
— ra
o — a
k — t
u — a
l — w
a — a
n — c
r — d
e — y
a — i
b — z
u — e
m — r
ma —
l — k

Szarada.

Ułożył W. S. Złoczów.

Pierwsza trzecia jest to znak muzyczny,
Druga-trzecia, objaw epidemiczny,
Panie przed nim głowy uchylają,
Lecz mężowie w długi zapadają.
Całość mienie nasze przechowuje,
Więc się pilnie takowej pilnuje.

Logogryf.

Ułożył Ch. Rosenblum, Borszczów.

a, a, a, a, al, an, an, ba, bel, bi, ca, ce, cen, cha, cy, cyt, da, des, do, do, dro, fon, gal, i, i, is, jej, ka, ka, ko, kom, la, la, lam, le, le, le, le, li, li, li, lin, ła, ło, me, mi, na, na, nep, ni, no, o, o, on, pi, po, po, ro, sa, sa, sa, ski, sos, sy, ta, te, to, to, tun, ty, u, u, wa, wa, wa, wi, win, za, za, zarz.

Z podanych zgłosek ułożyć szereg wyrazów. Litery początkowe, czytane z góry na dół, podadzą dwa imiona i nazwisko króla polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Drzewo szpilkowe. 2. Historyk rzymski. 3. Forma rządu. 4. Cesarz francuski. 5. Wyspa na morzu Śródziemnem. 6. Pseudonim polskiego poety. 7. Serbski król-bohater. 8. Drzewo liściaste. 9. Miasto w Galicyi. 10 Konstellacya. 11. Rodzaj deszczu. 12. Miejscowość na terenie obecnej wojny 13. Poeta polski 14. Wyspa azyatycka 15. Przyrząd do przenoszenia głosu. 16. Dopływ Wisły. 17. Port rosyjski. 18. Planeta. 19. Imię żeńskie. 20. Kraj, o którym się obecnie wiele mówi. 21. Miasto w Hiszpanii. 22. Dopływ Wołgi. 23. Imię męskie. 24. Dopływ Dunaju. 25. Figura geometryczna. 26. Religia.

Logogryf.

Ułożyli K. K. i I. R. ze Lwowa.

Litery początkowe odgadniętych wyrazów podadzą w kierunku pionowym pseudonim zmarłego niedawno polskiego powieściopisarza, w poziomym tytuł jego utworu.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór zmarłego powieściopisarza. 2. Starożytny poemat indyjski. 3. Miasteczko w Galicyi. 4. Miasto w Szwecyi. 5. Rodzaj mięsa. 6. Słynny polski rysownik z początku XIX wieku. 7. Sprzęt. 8. Imię żeńskie. 9. Nazwisko i imię polskiego malarza. 10. Inaczej źrebię. 11. Rodzaj wódki. 12. Inaczej podróż.

Przysłowiówka.

Ułożył J. H.bl, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć dwa razy po jednej literze, idąc z góry na dół i utworzyć z nich znane przysłowie:

1) Kazał pan, zrobił sam.
2) Niedaleko pada jabłko od jabłoni.
3) Kto smaruje, ten jedzie.
4) Lepszy rydz, niźli nic.
5) Długo myśl, prędko czyń.
6) Koń ma cztery nogi, a potyka się.
7) Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
8) Kiedyś grzyb, leź w kosz.
9) Każdy sądzi według siebie.
10) Nie mów hop póki nie przeskoczysz.
11) Bliższa koszula ciała, niż suknia.
12) Strach ma wielkie oczy.
13) Trafiła kosa na kamień.
14) Pańskie oko konia tuczy.
15) Na grzeczności nikt nigdy nie stracił.
16) Głodnemu chleb na myśli.

Zagadka literacka.

Ułożył Jan Szymanek, Nowy Sącz.

Początkowe litery nazwisk autorów podanych dzieł utworzą imię i nazwisko znanego polskiego poety.

Wyzwolenie?
Chłopi arystokraci?
Królowa Bona?
Nowocześni bohaterowie?
Kiejstut?
Wieś i miasto?
Bakałarze?
Pieśń o tatniego minstrela?
Koniec epopei?
Dwa bieguny?
Pamiętniki kwestarza?
Miłość?
Mistrz Solness?

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Dygasińskiego:* **Nowelle.** 2 tomy.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.